Nr. 4. Warszawa, dnia 10 (22) Stycznia 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Administracyi.

Przy prenumeracie noworocznej otrzymaliśmy taką masę zleceń i obstalunków, że nie mogliśmy ich dotąd wykonać w całości. Prosimy przeto szan. Abonentów PRAWDY, którzy nie odebrali jeszcze żądanych posyłek, o wyrozumiałą a już niedługą cierpliwość.

POLITYKA

NOWA GORĄCZKA.

Uniewinnienie Esterhazego nie umorzyło sprawy o mord sądowy, wszczętej przez rodzinę skazanego w r. 1894 kapitana sztabu generalnego Dreyfussa; przeciwnie, rozdmuchało ją w wielki pożar. Płonie już od niego cała Francya, na zachodzie, na południu i na wschodzie. Namiętności motłochu nadają majaczeniom oświeconego tłumu niszczącą już potęgę. Naród rozpada się na stronników Żyda Dreyfussa i stronników nie-Żyda Esterhazego. Jedna połowa narodu broni tej armii, w imieniu której gen. Luxer, prezydujący na posiedzeniu sądu wojennego w d. 11 b. m., wyciągnął do uniewinnionego, nie jedną, ale aż obie ręce, serdecznie go niemi ściskając; druga połowa narodu gromadzi się pod chorągwią powieściopisarza Zoli, który w liście do samego prezydenta rzeczypospolitej nie wahał się twierdzić, że w r. 1894 sprawiedliwość wojskowa dopuściła się mordu, a dzisiejsi jej pełnomocnicy usiłują osłonić prawdę, na dnie której leżeć musi hańba honor armii, honor Francyi całej obryzgująca. Z namiętności, z przekonań, z porywów szlachetnych, z nikczemnych popędów, z interesów politycznych, z interesów egotycznych, egoistycznych, z całego tego wrzenia, ujawniającego tak wymownie naturę *dela grande nation* — wybuchnął już antisemityzm w samym Paryżu, wzmógł się anarchizm, a w dymach i oparach całej manifestacyi błyska już nowy bulanżeryzm. Rząd się chwieje.

Nie byłoby tej zawieruchy, groźnej dla spokoju państwa, może nawet gotującej mu nowy przewrót, gdyby rząd i sąd, ulegając naciskowi rodziny Dreyfussa, wznowiły były sprawę skazańca z r. 1894, gdyby głód ciekawości i niedowierzania, z taką już oczywistością odczuwany przez opinię publiczną, nasyciły były w porę rewizyą wyroku. Tylko dla wymożenia tej rewizyi rzucono oskarżenie na Esterhazego, a gdy sąd skazać go nie mógł, ku temu również celowi wytężono wszystkie siły po wyroku, aby skazanego oczyścić, skazujących napiętnować, zarząd wojskowy i armię uwolnić od sił nieczystych, które znęcać się nad niemi muszą, jeśli rzeczywiście w r. 1895 na Czarcią-wyspę wysłała — niewinnego. Ujęcie steru sprawy przez Zolę, człowieka idei, nadaje jej ten podnoszący charakter, jakiego dotychczas nie miała, dopóki sprzymierzeńcem Dreyfussów był sam tylko Scheurer-Kestner, senator, Alzatczyk. Dobroć tej sprawy zależy od dobroci dowodów i poszlak, któremi sobie umysł sławnego powieściopisarza zjednano. Czy Zola, pociągnięty już przed sąd przysięgłych, nie piorunami stylu, ale cichą wymową dokumentu niewinność Dreyfussa, a winę sprawiedliwości wojskowej francuskiej wykazać zdoła? Zdaje się, że interpelacya Cavaignaca w Izbie uwolni powieściopisarza od obowiązku normalnie ciążącego na władzy sądowej. Rząd albo upadnie, albo sam zarządzi rewizyą. O wytaczaniu procesu człowiekowi, który w najgorszym razie może być tylko obałamuconym, ale nigdy występnym — mógłby wtedy myśleć już tylko głupi pedantyzm.

Dlaczego ministrowie, zwłaszcza minister wojny Billot, opierali się dotychczas rewizyi wyroku, wydanego na Dreyfussa? Dlaczego sam p. Faure, widząc rosnące wzburzenie, nie zażądał wznowienia sprawy, aby przez nie ciężko oskarżoną władzę wojskową uniewinnić, jeśli rzeczywiście w sferach kierujących ani dziś, ani za prezydentury Casimir-Periera nie dopuszczono się żadnego przestępstwa? I czy koniecznie już trzeba się domyślać sprawy nieczystej, gdy widocznie ministeryum wojny coś ukrywa, czegoś niedomawia, kogoś osłonić usiłuje? Dążność taką świeżo stwierdzić musiała opinia publiczna w postępowaniu w sądzie na Esterhazego. Na tle urzędownie orzeczonej niewinności oskarżonego jaskrawo rysuje się uwięzienie jednego za świadków obciążających, pułkownika Picquarta, którego aż z Algeryi sprowadzono, by mógł przeciwko Esterhazemu zaświadczyć: a tu władza wojskowa, nie wiadomo za co, takiego cennego świadka na dwa miesiące na Mont Valérien osadza. Rozprawy sądowe, choćby tylko w pewnych momentach odbywane przy drzwiach zamkniętych — dla konwulsyjnie już miotającej się opinii musiały być podejrzanemi.—Dajcie nam rewizyę! a zobaczycie, na kim ciąży plama: na was, czy na niewinnie skazanym. Nie jest to już głos samych Dreyfussów i ich przyjaciół, ale głos wszystkich stronnictw głębiej i wzrok i ręce w odmęt społeczno-polityczny zapuszczać nawykłych. Czyby Zola na czole ruchu stanął czy nie, u steru tego ruchu nie zbrakłoby w końcu idei cały egotyzm i egoizm Dreyfussów zaćmiewającej.

Ludzie i idee wołają o rewizyę wyroku. Czy ją otrzymają? Paradoksalnie wygląda wątpliwość, że kto wie, czy dzisiejszy gabinet nie będzie wolał upaść raczej, niż przystać na przejrzenie wyroku, które w żadnym razie, w najprzelotniejszym nawet momencie swoim, nie mogłoby być tajemnem; ale mimo to umysł nie waha

się w nią spojrzeć. Za co skazano Dreyfussa, jaki mu czyn zarzucono, jakim go dowodem pokonano? — same tajemnice. Sąd, w dniach 19—22 grudnia 1894 r. przy więzieniu du Cherche Midi nad nim odbyty, ogłosił tylko sentencyę wyroku, motywa pozostawił w tajemnych aktach tej historycznej dziś sprawy, postaci czynu nawet nie wyjawił, w pytaniach tylko postawionych sobie przed skazaniem czyn ten ogólnikowo określił jako *„dostarczenie pewnej liczby dokumentów sekretnych obcemu rządowi.“* Instancya kasacyjna, t. zw. *conseil de revision*, d. 31 grudnia 1894 r. skargę Dreyfussa odrzuciła. D. 5 stycznia 1895 r. odbył się straszliwy obrządek degradacyi. Dreyfuss wołał: „Jestem niewinny!“, a dziennikarzom krzyknął: „Powiedzcie całej Francyi, żem niewinny!“ Dziennikarze wówczas nie usłuchali; za to robią wszystko, co mogą, teraz. Przerażenie i pogarda były wówczas jeszcze powszechniejsze, niż teraz są miłosierdzie i sympatya. Ówczesny minister wojny, Mercier, we dwa dni po wyroku wniósł w Izbie deputowanych zaostrzenie kar za zdradę; w tydzień władza wojskowa w Belforcie nakazała braciom skazanego Alfreda Dreyfusa odebrać swe dzieci ze szkoły wojskowej. Większej hańby, silniejszego przeświadczenia, straszniejszej pomyłki, okropniejszej niegodziwości — bo na to wszystko czysta logika ma dość miejsca w tej tajemniczej sprawie — wyobrazić sobie niepodobna. Dla tej logiki nie jest nawet czczem domniemanie, że jeśli był czyn występny, mogło nie być występnego sprawcy, a przytłoczony winą Dreyfuss jest tylko ofiarą pomyłki sądowej. Tajemniczość sprawy z 1894 wzmacnia domniemanie, ale tajemniczości dopominała się polityka. Przez cały czas procesu ambasada niemiecka wypierała się wszelkiego wspólnictwa, a ambasada niemiecka — to cesarz Wilhelm, to stosunki z Niemcami, to pokój lub wojna — niebezpieczeństwo! Obawy ówczesne są i dzisiejszemi. Polityka, tyle doli przytłaczająca, tłoczy może i sprawiedliwość w obecnym wypadku. Nacisk ten powiększa jeszcze zamęt, ale i z największego nawet tylko radykalne zatarganie trzewiami — choćby z naruszeniem stosunków dyplomatycznych — wyprowadzić zdoła Francyę. Oby tylko tej funkcyi sprawiedliwości i porządku nie chciała spełnić dyktatura.

Tydzień polityczny. Bulanżyści chwytać już zaczęli na arkan rzecz publiczną we Francyi. Same nazwiska, z Rochefortem, dość już mówią. D. 17 b. m. w Paryżu w Tivoli anti-semici starli się z anarchistami, którzy ich ostatecznie wyparowali i rozpędzili. Na prowincyi w Lugdunie, Montpellier, Marsylii, Bordeaux, Nantes, Nancy — codzienne zbiegowiska i bójki między Gwelfami i Gibelinami nowego autoramentu. Sceny lugduńskie i marsylskie były dramatyczniejsze od innych, a telegramy zapowiadają dalsze akty sztuki. Jeżeli to potrwa, niedługo i wieś podzieli się na tych, co idą z Dreyfussem lub przeciwko niemu, z Żydami lub przeciwko Żydom, ze sprawiedliwością lub z krzywdą, z armią i honorem narodowym lub przeciwko armii i honorowi narodowemu. Życie może te wszystkie dylemata zastąpić jednym: z rzeczą pospolitą lub przeciwko niej. Meline w opałach. Interpelacya Cavaignac'a w Izbie o rewizyę procesu Dreyfussa była już dla niego ciosem: pr. gabinetu oparł się bezzwłocznym obradom i zagroził dymisyą. Do soboty i termin rozpraw i sam los rządu powinien być rozstrzygniętym. Zola za oskarżenia rzucone na władzę wojskową w liście do prezydenta rzeczypospolitej w *Aurore* stanie przed sądem, jeżeli przyjdzie jeszcze do sądu. Jest on dziś przewódcą Dreyfusistów, a w mniemaniu własnem obrońcą sprawiedliwości jakoby przez skazanie Dreyfussa i uniewinnienie Esterhazego popełnionej. Ogólne uwagi nad ruchem w artykule wstępnym.

Rząd pruski rzeczywiście zapowiedział w mowie tronowej nową walkę z żywiołem polskim za pomocą kolonizacyi nowymi środkami pieniężnymi dokonać się mającej, ale projektu samego jeszcze w d. 11 b. m. nie złożył; uczynił to dopiero obecnie. Sam kanclerz ma go uzasadnić, ma wybrać czerpakiem swej wymowy całe morze bezprawia i zapalczywości, przeciwko którym Niemcy tylko bronić się pragną. Koło głosować będzie przeciwko nakładom na flotę, ale czy jego głosy są rządowi prusko-niemieckiemu tak potrzebne dzisiaj, jak były wtedy, kiedy p. Kościelski przeprowadzał rodaków swoich na terytoryum rządowe? Na walkę z owym nieokiełznanym żywiołem nowy etat pruski oddaje do dyspozycyi nadprezydentów regencyjnych 400,000 marek; dostanie się ona przeważnie stypendystom niemieckim.

W Pradze mówią o przywróceniu stanu wojennego. Niemcy odrzucają wszelką zgodę, domagają się wręcz zniesienia rozporządzeń p. Badeniego, a o tem, co będzie, chcą tylko rozprawiać w Izbie wiedeńskiej. Wolf od piszałki w przeszłym tygodniu hałasował po swojemu i w sejmie praskim. Rząd daremnie usiłuje ułagodzić Niemców zapowiedzią nowych rozporządzeń na luty. Komisya p. Buquoy jest wciąż jeszcze marzeniem. Zamiar rządowy, aby oba języki uczynić w szkołach obowiązującemi, wywołuje w Niemczech oburzenie. Zamknięcie sejmu będzie jedynem wyjściem z wąwozu nierozwiązalnych sporów.

Pożyczka angielska dla Chin utknęła; nie słychać też i o drugiej, izby się wkrótce urzeczywistnić miała. Rząd angielski daje od siebie Chinom 12 mil. funt. na spłatę kontrybucyi japońskiej i inne potrzeby, żądając w zamian wpuszczenia handlu angielskiego do Junnanu, otwarcia dwóch jeszcze portów m. innemi Talienwanu, zatoki obwarowanej, na północo-wschód od Port Arthur. Flota japońska stanie u Formozy, od r. 1895 własności politycznej Japończyków. Wyspy Hainan Francya nie zajęła dotychczas, ale eskadra francuska zatrzymała się u jej brzegów.

Gen. Weyler łagodnieje, uchyla się od podżegających zebrań, urządzanych przez zachowawczego Romero-Robledo. W Hawanie były zaburzenia. Oficerowie i motłoch ultra-hiszpański rzucali się na dzienniki, popierające autonomię. Stronnictwo pałasza nienawidzi już generała Blanco i pragnie się go pozbyć. Powstanie osłabło. Rząd madrycki jeszcze nie wysłał noty do Stanów Zjedn. Ameryki Północnej.

W Serbii król Milan wziął buławę najwyższego wodza armii serbskiej, którą zaczęto reorganizować. Ma to być w związku ze spiskiem Radykalnych przeciwko Obrenowiczom. Skupczynę na papierze tylko zwołano i zaraz odroczono: rządy konstytucyjne.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NOWY PASORZYT.

Pojawił się w ostatnich latach zupełnie nowy wytwór warunków ekonomicznych i społecznych ludności rolniczej w naszym kraju; pasorzyt, który coraz bardziej i szerzej rozwija się bezkarnie w organizmie ziemiaństwa naszego, toczy je i osłabia, a zarazem zgubnie działa na szersze warstwy. Pasorzytem tym jest tak zwany „parcelownik.“ Zanim przystąpimy do wskaza-

---

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Aresztant za dobre prowadzenie się, po pewnym przeciągu czasu, może być zupełnie wypuszczony z więzienia. Przechodzi wtedy do „wolnych szeregów katorżniczych,“ mieszka nie w więzieniu, lecz prywatnie i spełnia „lekcyę“ zadaną.

Jakże ci wszyscy lepsi w więzieniu dążą do tego, jak marzą o tem, ażeby się wydobyć z owego błota fizycznego i moralnego, osiąść w wolnem, „swojem“ mieszkanku! Niestety! nie wszystkim pragnienia te udaje się zaspokoić. Inspektor nie może znać każdego z setek aresztantów. Świadectwo dobrej konduity zależy od dozorców, którzy w znacznej części sami przebyli katorgę. Podanie o przeniesienie do szeregów wolnych robią pisarze, pochodzący wyłącznie z katorżników. Wszystko oni trzymają w swoich rękach. Nieszczęśliwy skazaniec, który niema dwu lub trzech rubli, musi nieraz wyrzec się marzeń o „własnym“ kącie, tudzież wszelkiej nadziei ulgi w swym losie...

Dostawszy się w jakikolwiek sposób do „szeregów wolnych,“ albo się najmują za pół rubla miesięcznie, albo też po dwóch mieszkają w „chibarkach.“ W każdym posterunku jest taka „słobodka katorżna.“

Nędza tam straszna; niema żadnego dobytku, a pomimo to z oczu tych ludzi bije zadowolenie:

— Dzięki Bogu, wyrwaliśmy się z „tej“ przeklętej!

Są panami dla siebie! Chibarka tak mała, że ledwie można się poruszać. Jakich tam ludzi losy łączą z sobą! Zajdźmy do jednej lepianki. Na przestrzeni pięciu kroków kwadratowych mieszka dwóch.

Jeden — Polak. Ma lat 40, a wygląda na 60. Podobny do ogromnego szkieletu zgarbionego. Twarz żółta, obwisła. W oczach pali się ogień ponury. Wiecznie posępny, stroni od ludzi, nie chce z nikim rozmawiać. Skazany na 20 lat za to, że najął zabójców do zamordowania swej żony. Dręczyła go zazdrość, ale nie miał odwagi sam zabić. Zapewne przed tem dużo burz przeżył ten przedwcześnie posiwiały, zgarbiony, wyschnięty człowiek.

Jego towarzysz — chłop z gub. Woroneżkiej. Dostał się do katorgi za zgwałcenie dziewczyny.

— Pijany byłem, wielmożny panie! Szliśmy gromadą, a ona naprzeciwko nas. Może ja, a może i nie ja. Nic nie pamiętam!

I żyją te dwa bieguny razem.

A oto inna para:

Poważny, stary chłop, Sybirak. Atleta. Twarz zawsze surowa. Oczy świecą chłodnym, spokojnym blaskiem. Znać w nich duszę zlodowaciałą. Zapewne tak samo chłodno i spokojnie patrzyły i wtedy, gdy on, gospodarz domu zajezdnego, zabijał siekierą czterech gości śpiących: trzech kupców podpiłych i furmana. Natura silna, potężna. Bies go opętał. Gdy takiego człowieka „bies opęta“ — gotów jest on na wszystko, nie cofnie się przed niczem. Litość, współczucie jest obce jego duszy. On jest za silny, ażeby się mógł poddać takim „słabostkom.“ Wygląda z niego postać tragiczna.

Razem z nim mieszka rudy chłop, najpoczciwsza na świecie istota; o swojem

nia środków leczniczych, musimy się przyjrzeć mu dokładnie przez drobnowidz świadomej rzeczy *Gazety Kieleckiej*. Działalność jego nie zasadza się wyłącznie na dzieleniu nabytego majątku i odprzedawaniu go za pośrednictwem Banku włościańskiego. Taki faktor, czyli członek naganki, urządzonej w całym kraju, nie ma ustalonego celu swoich działań, oczywiście po za obrębem korzyści, jakie wpływają do jego kieszeni. Zupełnie mu jest obojętny obrót sprawy zapoczątkowanej, jak również przejście dóbr w te lub inne ręce. Nie jest to wszakże zwykły typ faktora, pośredniczącego między sprzedawcą a nabywcą majątków ziemskich. Działalność jego ma tylko pozorne podobieństwo do faktorskiej. W rzeczywistości opiera się ona na zasadach odmiennych. „Parcelownicy“ bowiem czepiają się nietylko dóbr wystawionych na sprzedaż, lecz i takich, które, gdyby nie ich wtrącanie się, mogłyby i nadal pozostać w rękach właściciela dotychczasowego. Działacz taki (sub-agent), poznawszy dobrze „interes,“ usiłuje wynaleźć „dziury“ w hypotece, czytuje pilnie pisma urzędowe, w których zamieszczane są ogłoszenia o licytacyach, zawiązuje znajomości z wierzycielami, zawiera układy przedwstępne i obiecuje znaczne ustępstwa, bada wreszcie stosunki serwitutowe. Zdobywszy wszelkie niezbędne środki i sposoby, idzie do „parcelownika kapitalisty“ (zwykle ma ich kilku do wyboru), z góry umawia się o zapłatę i rozpoczyna działalność, kończącą się zwykle zwycięztwem na rzecz spekulanta-nabywcy. Ten zaś, omotawszy sprzedawcę i wyzyskawszy najkorzystniejsze dla siebie warunki, przystępuje do „gospodarstwa,“ które zazadza się na zupełnem wycięciu lasu i rabunkowem wyzyskiwaniu wszystkiego. Zadanie kończy się rozparcelowaniem gruntu lub urządzeniem majątku „na efekt.“ Jest to pułapka na naiwnych nabywców. Po odnowieniu pozornem starych, zrujnowanych budynków i obsianiu pól, majątek „w kwitnącym stanie“ wystawia się na sprzedaż.

Tutaj znowu w grę wchodzi ten agent, który wynalazł dobra poprzednio. Szuka on nabywców nie śród rolników fachowych, lecz między zamożnem mieszczaństwem; dorobkiewiczami, którzy chcą dobrze ulokować w ziemi owoce swych zabiegów i pracy na gruncie miejskim. Występuje on jako głęboki znawca stosunków, zastawia zręcznie swoje sidła i łapie w nie nawet ostrożne wróble miejskie. Ten zaś, przekonawszy się wkrótce, że jest ofiarą oszustwa, usiłuje dobra nabyto odprzedać po cenie znacznie niższej drobnym kolonistom lub bankowi.

Wielu ziemian, dzięki jedynie „parcelownikom,“ wpadło w zatargi z wierzycielami i utraciło mienie, które w zwykłych warunkach można było w ciągu kilku lat oczyścić z długu zupełnie. Zdaniem *Gazety Kieleckiej*, pokątne doradztwo, zgnębione obostrzeniami prawnemi, było bodaj mniej szkodliwem, niż „parcelownictwo“ obecne. Tamten szkodził przynajmniej raz tylko i wyrządzał złe jednostkom, gdy pasorzyt obecny godzi na stan ekonomiczny pewnej kategoryi ziemian, pomnaża sprawy sądowe i rujnuje liczne rodziny.

Z tej charakterystyki działalności nowego pasorzyta widzimy, jak dalece toczy on organizm naszego rolnictwa, podkopuje byt jego i wprowadza nawet tam ruinę, gdzie jej łatwo uniknąć bez wysiłków rozpaczliwych. Czy nie można tej klęsce przeciwdziałać? Przedewszystkiem należałoby gruntownie rozpoznać tu przyczyny. Wejrzawszy głębiej w warunki kupna i sprzedaży ziemi, ściśle związane z warunkami ekonomicznymi, łatwo dostrzeżemy wadliwość na każdym kroku. Wynika ona z braku organizacyi świadomej i stałej, obejmującej kraj cały. Na to już zwracano u nas niejednokrotnie uwagę. Przed dwoma, zdaje się, laty sekcya rolnu również mówiła o tem szeroko i projektowała stworzenie banku parcelacyjnego, wzbogaciła się i literatura ekonomiczna w tej mierze, ale życie realne nic na tem nie zyskało. Pasorzyt się rozwija bezkarnie i rujnuje coraz bardziej rolnictwo, a projekty i wnioski, złożone do archiwum jeszcze za czasów p. Jeziorańskiego, spoczywają tam spokojnie. A jednak należałoby, choćby na podstawie wniosków i cyfr p. Blocha, rozwinąć działalność niezwłoczną. Bank włościański, jak wiadomo, nie może zapobiedz klęsce, bo nie odpowiada potrzebom w całej rozciągłości. P. Bloch do najpoważniejszych przeszkód należytego rozwoju tej instytucyi zaliczył tendencyę udzielania pożyczek przedewszystkiem spółkom, a potem już, jak gdyby w formie wyjątku, jednostkom. Dopiero według zarysu najnowszych reform, Bank włościański z własnych sum dawać może w Królestwie pożyczkobiorcom 75% sumy szacunkowej i jeszcze 15% funduszu użyteczności publicznej, razem 90%. A więc z kredytu korzystać mogą nietylko ci, którzy mają własne jakieś zasoby, lecz wszyscy niemal włościanie. Przytem kredyt to bardzo dogodny, bo amortyzacya wraz z procentami wynosi 7½—[illegible] rocznie (w ratach półrocznych). Prócz tego przewidziana jest możność ulg.

Pomimo tych nadzwyczajnych warunków, Bank nie może podołać wszystkim potrzebom. Królestwo Polskie liczy około 50,000 rodzin drobnej szlachty, posiadającej 900,000 mórg. W niektórych okolicach kraju ta kategorya ludności posiada połowę ziemi nieobjętej tabelami likwidacyjnemi (powiaty: Mazowiecki, Ostrołęcki, Kolneński, Siedlecki, Przasnyski i Łomżyński). Warunki ekonomiczne tej kategoryi są zbliżone do warunków włościan, a nawet bywają gorsze (częstokroć wypada 2 morgi na rodzinę). Niestety, szlachta zagonowa nie może korzystać z Banku, gdyż służy on tylko potrzebom włościan i mieszczan - rolników, a i dla włościan w wielu wypadkach jest niedostępny. W całym kraju posiada on tylko cztery oddziały: warszawski (gub. Warszawska, Płocka, Radomska), łomżyński (Łomżyńska, Suwalska), lubelski (Lubelska i Siedlecka) i piotrkowski (Piotrkowska, Kaliska i Kielecka). Utrudnia to ogromnie stosunki ludności z instytucyą kredytową.

Wobec tedy takich braków p. Bloch do-

---

przestępstwie nawet tak wspomina, że niepodobna nie uśmiechnąć się...

— Na zebraniu gromadzkiem było... Chłopa znać nie w miarę bili. A on—rozgniewał się i umarł; daj mu, Boże, królestwo niebieskie, wieczne odpoczywanie!

— I cóż? Zżyliście się? — pytam.

— Chłop niezuchwały! — rzecze stary o swoim towarzyszu.

— Żyjemy! Cóż nam?! — uśmiecha się chłop.

Ci, którzy dążą do tego, ażeby posiąść mieszkanie wolne, są najlepszą cząstką katorgi. Gracze, szachraje, pijacy, lichwiarze „łatwiej się przystosowują do turmy.“ W ich towarzystwie musi gnić dobry człowiek tylko dlatego, iż brak mu dwu lub trzech rubli dla dozorców i pisarzów za „świadectwo“ i „podanie.“

„Kajdanowa,“ „turma wolna“ i szeregi wolne“ — przesunęła się przed nami cała karyera więzienna katorżnika. Zwykły porządek.

Ale cały ten porządek wywraca się do góry, jeżeli za wysłanym na Sachalin najcięższym przestępcą podąża rodzina, a szczególnie, gdy on przytem dobrze jest obeznany z jakiem rzemiosłem.

Jeżeli np. jest dobrym ślusarzem, tokarzem, umie rzeźbić na drzewie,—jest nie zwykłym aresztantem, lecz *persona grata*, a nawet *persona gratissima*. Nie on wtedy szuka, ale jego poszukują. W Aleksandrowsku np. jest rzeźbiarz Keiser. W stosunku innych z nim odrazu spostrzegamy ogólne uznanie. Jest to jedyny rzeźbiarz w całym posterunku. Udają się do niego z zamówieniami urzędnicy miejscowi, on zaś delikatnie i artystycznie wykonywa te roboty, które są posyłane do Chaborowska w celu pokazania, jak kwitną i na jak wysokim szczeblu stoją warsztaty sachalińskie!

— Ciągnie zyski! — pamiętam, z ironią opowiadał mi o nim pewien kajdaniarz.— Nietylko dobrze rznie na drzewie; umie również dobrze rznąć po gardle. Nie gorzej od nas, posiadających wiele grzechów. A żyje jak pan jaki!

Jeżeli za katorżnikiem podąża rodzina, wypuszczają go z turmy, na dwa lata zupełnie uwalniają od wszelkich robót, a następnie każą wypełniać tylko „lekcye,“ i to takie, które nie przeszkadzałyby mu prowadzić gospodarstwa.

Zdarza się tak, iż za jedną zbrodnię i na jednakowy termin skazanych bywa dwu przestępców. Za jednym podąża rodzina i ten mieszka wtedy „na swobodzie,“ dwa lata nic nie robi. Drugi — kawaler i dlatego siedzi w więzieniu kajdanowem; na lato golą mu głowę i okuwają go w kajdany.

Zabójca-zwierzę, zabójca z profesyi — chodzi wolny i pracuje dla siebie, bo ma rodzinę. A inny, skazany na 17½ lat za to, że rozmawiając z feldfeblem, zuchwale mu odpowiadał i zerwał *z siebie* naramienniki, męczy się w więzieniu kajdanowem!

— Gdybym wiedział, ożeniłbym się przedtem — mówią ironicznie katorżnicy.

Wszystko to bynajmniej nie wpaja im pojęcia o karze sprawiedliwej, dźwiganej za przestępstwa.

Jeden z kajdaniarzy, rozmawiając ze mną sam na sam, przekonywał mię, że musi koniecznie zbiedz i pomimo moich odradzań stał uparcie przy swojem.

— Nie, nie mogę wytrzymać.

— Zważ tylko. Mówmy otwarcie. Ciężka jest kara, to prawda. Ale przecież zasłużyłeś na nią. Przez pół godziny pięciu ludzi siekierą zamordowałeś. Wszak powinna być na świecie sprawiedliwość!

— Tak! A tutaj są tacy, którzy nie po

radzał, ażeby Towarzystwo kredytowe ziemskie rozszerzyło swoją działalność w tym zakresie. „Jest to potrzeba tak pilna i ważna, że żadne przeszkody, żadne przeszłe zawady, żadne względy ani zrażać, ani nawet osłabiać energii w dążeniu do tego celu nie powinny.“

Pomimo tak gorących nawoływań, popartych przekonywającymi dowodami, Towarzystwo kredytowe, jak również ci wszyscy ziemianie, których zabiegi mogłyby przynieść pożądane owoce — milczą dotychczas. Dwa lata upłynęły w zupełnej apatyi, kwestyę teoretyczną pogrzebano, życiowa zaś rozrasta się i czyni nieustanne spustoszenia. Czas już otrząsnąć się z niedołęztwa, czas wystąpić z walką zbiorową przeciwko tej klęsce. Nie należy przytem poprzestawać na stronie finansowej, udzielania kredytu. Trzeba zorganizować takie przedsięwzięcie, które objąwszy jasno warunki kupna i sprzedaży ziemi, mogłoby zupełnie zniweczyć działalność „parcelowników.“

KRONIKA POZNAŃSKA.

Walka. — Energia nienawiści. — W przyszłości — walka o powietrze. — Pomysły w celu zagłady polszczyzny. — Dążenia rządu i hakatyzmu w oświetleniu bezstronnej prasy niemieckiej.—Co warta kolonizacya. — Pogłoska z *Kuryera Poznańskiego*.

Walka, walka, walka — z żywiołem polskim! To hasło nieustanne hakatystów, które zaczyna już się starzeć, ale za to same fakty ucisku, pomysły i usiłowania nie starzeją się wcale. Przeciwnie — trzeba podziwiać pomysłowość tych ciemięzców, w których krew weszła niczem nieprzoparta chęć kracyaty na wszystko, co nie germańskie, na wszystkich nie-Niemców, którzy pragną żyć, oddychać i jeść. Zdawałoby się, że z czasem nastąpi przesilenie, że się spali ta energia nienawiści, podsycana zarzewiem ekonomicznem z patryotyczną rękojeścią pochodni zniszczenia. Gdzież tam! Pochodnia, wydawszy masę dymu duszącego i iskier rozsypanych dla wzniecenia pożogi, znowu wybucha wielkim płomieniem, pluje jego strumieniami na narodowość polską i wogóle na żywioł słowiański. Zdaje się, że gdy ziemi zabraknie na ten posiew ognia, przepełni on atmosferę, przesyci ją wyziewami swymi, ażeby utrudnić oddychanie. W rzeczy samej można już wierzyć, że z czasem hakatyści zaczną wołać, ażeby Polakom zabroniono oddychać, gdyż płucom Niemców tak obszernym, jak ich kieszenie i żołądki, zabraknie powietrza, przesyconego tlenem czysto germańskim.

Ile razy zbliża się sesya sejmowa, rośnie aż pod niebo dla niej stos projektów i pomysłów, mających na celu zagładę polszczyzny. I teraz, przed kilku tygodniami, na schyłku roku przeszłego, urósł taki stos olbrzymi, którego główną częścią składową miał być wniosek o zatwierdzenie ustawy wyjątkowej, wykluczającej język nasz ze stowarzyszeń i zgromadzeń polskich. Jednocześnie w pismach półurzędowych puszczono wieść, że minister spraw wewnętrznych ma dla sejmu projekt o uchwale nowych milionów w celach kolonizacyjnych.

Na te zarzewia i rakiety rozumniejsza i uczciwsza prasa niemiecka czasem leje strumienie wody z sikawek swojej logiki. Między innemi na szczególną uwagę zasługują takie strumienie, wylane przez *Freisinnige Zeitung* pod postacią charakterystyki dążeń rządowych:

„Minister skarbu, p. Miquel, jak widać nie wie, co zrobić z pozostałymi milionami. Dlatego właśnie zapowiedziano, że kapitał zakładowy centralnej kasy rządowej, udzielającej spółkom kredytu, powiększony będzie z 20 na 50 milionów; następnie zaś sejm znowu uchwali kilkadziesiąt milionów na wykupywanie ziemi z rąk polskich... Fundusz antipolski ze stanowiska narodowego, jak i ekonomicznego jest niebywałą przewrotnością.“

Ze stanowiska niemiecko - narodowego sto milionów na odpolszczenie ziemi było środkiem bardzo niefortunnym, obmyślanym przez ks. Bismarcka. Polacy nazywają ustawę w tej mierze wywrotem konstytucyi, a chociażby to zdanie pod względem formalnym nie było dość ścisłe, to jednak trudno zaprzeczyć, że fundusz stumilionowy pogwałca zasadę równouprawnienia wszystkich obywateli państwowych, nie godzi się bowiem, ażeby skarb państwa udzielał środków na sztuczne usuwanie części poddanych niemieckich z ich posiadłości.

Posłowie polscy w r. 1896 postawili wniosek o zniesienie ustawy, wzburzenie zaś i rozprawy gorące, wywołane tą kwestyą, dowiodły, jak daleco ustawa zniszczyła spokój i zgodę pomiędzy ludnością.

Wynikiem ucisku jest opór: Polacy założyli sobie Bank ziemski, który daje wcale niezłe wyniki. Nadmienimy, że wobec ustawy o gospodarstwach rentowych fundusz stumilionowy jest wielką niedorzecznością. Komisyi generalnej nie wolno robić różnicy pomiędzy Polakami a Niemcami. Kolonizacya z jednej strony wykupuje wielkie majątki polskie — za pieniądze państwowe, a komisya generalna, również za pomocą środków z tego samego źródła, osadza Polaków na swych koloniach.

Zobaczmy, do czego to doprowadziło: Z funduszu stumilionowego użyto w ciągu dziesięciolecia 70 milionów. Z 420,000 mórg zakupionych rozkolonizowano mniej niż 40% (około 150,000 mórg). Reszta posiadłości pozostaje w administracyi fiskalnej, która bardzo dużo kosztuje. W ciągu dziesięciu lat zdołano osadzić 1,975 kolonistów niemieckich, pomiędzy którymi jest 808 z Poznańskiego i Prus Zachodnich. Jaką rolę odegrać może tak nieznaczna liczba Niemców, jeżeli zważymy, że przy wyborach do parlamentu niemieckiego w r. 1893 padło 229,531 głosów na kandydatów polskich. Cała ludność polska liczy przeszło milion głów. A więc nowe kolonie niemieckie przez dziesięciolecie nie dostarczyły nawet jednego procentu w stosunku do ludności polskiej. Cała tedy polityka na nic się nie przyda i tylko zaognia stosunki między Niemcami a Polakami. Istnieje przytem ta wielka trudność, że kolonistów niemieckich rząd nie może nakłonić do osiadania w prowincyach polskich, pomimo obiecywania złotych gór i ofiarowania licznych ulg.

Rząd nie gardzi nawet sztucznymi środkami, aby tylko zjednać osadników swoich. W tym celu wysyła agentów, którzy wespół z landratami mają wpływem swoim skłonić młodych rolników do wędrówki na Wschód. Tym sposobem stworzono formalny system agentur urzędowych. Że te środki nie zawsze dostarczają kolonistów zdolnych i uczciwych, jest to chyba wiadome powszechnie.

Widzimy tedy, że fundusz stumilionowy jest najnieszczęśliwszym pomysłem ks. Bismarcka z ostatniej doby działalności jego — doby, która wogóle odznaczała się wielką jałowością.

Po smutnych doświadczeniach, dokonanych z tą ustawą, byłoby czynem najrozsądniejszym zniesienie jej zupełne oraz

---

pięciu, lecz po ośmiu ludzi zarzynali i żyją na swobodzie, nie w „kajdanowoj.“ dlatego, że do nich żony przyjechały. To znaczy, nie dlatego w kajdanach siedzę, że pięciu ludzi zabiłem, lecz żem nie żonaty. Ot, chociażby ten Keiser. Jak pan żyje! A inny, co w porównaniu z nim połowy tych zbrodni nie popełnił, siedzi w „kajdanowoj“ dlatego tylko, iż rzemiosła nie zna. Gdzież sprawiedliwość?

Co tu mówić?

Przyjrzyjmy się jednak dalszym losom katorżnika.

Odsiedziawszy okres „doświadczania“ w kajdanowem, skończywszy następnie swój termin w więzieniu wolnem lub szeregach wolnych, idzie na osiedlenie.

Buduje gdziekolwiek w zapadłej tajdze „dom,“ w którym mieszkać nie można, dom „dla praw,“ gdyż każdy osiedleniec musi urządzić go sobie, w przeciwnym razie nie będzie zaliczony do stanu włościańskiego. Przemęczywszy się pięć lat w walce z głodem, wchodzi wreszcie do kategoryi „włościan z zesłańców“ i otrzymuje prawo wyjazdu na ląd stały. Marzenia spełniły się! Opuszcza przeklętą wyspę i jedzie na Syberyę, która wydaje mu się rajem.

Tam musi przebyć 12 lat, a następnie ma prawo wrócić do stron rodzinnych.

Tym sposobem nawet „katorżnik dożywotni,“ po odtrąceniu skróceń, może mieć nadzieję, że po latach 35—37 wróci do stron rodzinnych.

Niestety, takich szczęśliwców jest bardzo mało.

Katorgi dożywotniej niema.

A jednak w rzeczywistości ona istnieje, o czem można łatwo się przekonać, wchodząc do pierwszej lepszej turmy kajdanowej, gdzie w spisie katorżników czytamy:

„Skazaniec X. Termin: 15 lat +10+20 +15!“

Co za okropne plusy!

Są katorżnicy, którzy w sumie ogólnej muszą odbyć 70 lat kary. Ci już nigdy się nie wydostaną stamtąd; żadnych nie mają nadziei.

Przyczyną owych plusów są ucieczki.

Straszne nie te terminy, na jakie pierwotnie skazano katorżników; straszniejsze są te, które sobie wyrabiają sami na miejscu. Często człowiek skazany na sześć lat, „wyrabia“ *czterdzieści*.

Ucieka — chwytają go i przedłużają termin.

Nadziei jeszcze mniej; znowu ucieka i znowu przedłużenie terminu kary. Nadziei już niema żadnej; skazaniec ucieka, ucieka, a termin kary wydłuża się nieskończenie.

Uciekali nawet ze szpitalów ludzie obłożnie chorzy. Przez gęste zarośla, przez tajgę niedostępną, przez oblam leśny przeciska się człowiek, nie człowiek, lecz nawpół trup, ze strachem we wzroku gasnącym.

Z tego szkicu pobieżnego czytelnicy chyba mają pewne pojęcie, co to jest katorga i co zmusza tych ludzi do ucieczki, do przedłużania terminu kary i pogorszania losu.

Uciekają ze strachu.

(D. c. n.)

najrychlejsze sprzedanie posiadłości zakupionych tym, którzy będą chcieli je kupić.“

Tak niesłychanie znamienne oświetlenie sprawy na łamach pisma, z którego zawsze uderza obfitym strumieniem patryotyzm pruski, jest chyba wymownem świadectwem wartości tych zabiegów i ich mętnych pobudek, które hakatystom pod pozorem patryotyzmu dały możność prowadzenia rozboju dla osobistych celów materyalnych.

Nie trzeba jednak się łudzić, bo złudzenia były zawsze naszą ciężką chorobą; nie trzeba wierzyć, że głosy i silna argumentacya uczciwej prasy niemieckiej zdołają zatamować ów rabunek i rozbój zorganizowany. Będzie on nadal szerzył się bez wszelkiego hamulca, zwłaszcza że dzięki usadowieniu się wybitnych hakatystów na wysokich stanowiskach rządowych agitacya płynie z góry i ma silne oparcie w tych sferach — zbiornikach nienawiści plemiennych i instynktów zaborczych, bardzo silnie w dzisiejszej dobie pielęgnowanych.

Wobec tego ucisku, nieustannych prześladowań, wobec szykan, czynionych na każdym kroku, jakże haniebnie wygląda gotowość do usług Koła polskiego w parlamencie niemieckim! Podobno ma ono głosować za powiększeniem marynarki. Znaczna część pism miejscowych oraz opinia publiczna wyraziły swoje wielkie oburzenie na to wyżle płaszczenie się, chęć złagodzenia tą drogą ciosów, wymierzanych Polakom przez krzyżactwo współczesne. Wprawdzie dotychczas jest to tylko zamiar, ale podobno zamiar stanowczy. Zestawmy teraz ten fakt z drugim równoczesnym: *Nordd. Allg. Ztng* zapowiedziała z zupełną pewnością, że rząd postanowi udzielić znowu 100 milionów na kolonizacyę niemiecką w W. Ks. Poznańskiem. Niechże teraz pp. posłowie polscy przełkną z pokorą pasztet zniewagi, wymierzonej im całkiem słusznie ze szpalt *Posener Ztg*: „Może posłowie polscy z wielkiej uprzejmości zechcą głosować za komisyą kolonizacyjną.“ Kto wie, czy to szyderstwo nie jest bliskiem prawdy.

Goniec Wielkopolski, oburzony, wzywa wyborców, ażeby stanowczo i silnie zaprotestowali przeciwko tej gotowości Koła polskiego w sprawie głosowania za marynarką. Powinni oni jasno, otwarcie oświadczyć, że są przeciwni wszelkiemu pomnażaniu wydatków na okręty i wojsko. Niech nadto oznajmią, że w przyszłych wyborach powołają swoimi głosami na posła tylko tego Polaka, który przekonań ich będzie bronił w Berlinie.

W chwili gdy to piszemy (11 b. m.), rozpoczyna się już sesya sejmu pruskiego. Zobaczymy więc wkrótce, jakie nowe środki walki z żywiołem polskim wypłyną stamtąd i jak będą przyjęte usługi Koła polskiego. Zdaje się, że już dziś są one z lekceważeniem traktowane przez tych, dla których takie usługi są całkiem zbyteczne. Co do przyszłego programu walki z polskością, uczciwsza prasa niemiecka, uprzedzając wypadki, wypowiada otwarcie swoje zdanie i gromi te głosy nam nienawistne, które z pianą wściekliżny wystąpiły na szpaltach organów hakatystowskich. *Germania* ironicznie twierdzi, iż legenda o „aspiracyach wielkopolskich“ tudzież o „odbudowaniu narodowego państwa polskiego“ jest starą, lecz nieprawdziwą. Ci, którzy sami nienawiść w Polakach rozbudzili i ciągle ją podsycają, skarżą się i oburzają na tę nienawiść! Brutalnością nie robi się zdobyczy w ziemiach polskich.

Wartość komisyi kolonizacyjnej ocenił już właściwie baron Schorlemer z Alstu. Wykazał mianowicie, że ona ma na celu raczej nie zgermanizowanie, lecz sprotestantyzowanie dzielnic polskich.

Bardzo sympatyczne dla nas zdania wygłosiła *Posener Ztng.* Oprócz tych kilku uwag, które powyżej podaliśmy, uważamy za stosowne zacytować jeszcze inne. Pismo to mówi, iż właściwe motywy projektu będą się obracały w tem samem zaklętem kole pustych frazesów, zarzutów i twierdzeń nieudowodnionych o wyłączności polskiej.

Z *Pos. Ztng* dowiadujemy się, że artykuł *Nordd. Allg. Ztng* o sprawie polskiej jest wyjątkiem memoryału rządowego, który ma być złożony sejmowi pruskiemu. W razie przyjęcia tego projektu, każde z 252 słów elaboratu *Nordd. Allg. Ztng* — jak zaznacza dowcipnie i złośliwie organ poznański — kosztować będzie ludność opodatkowaną 400,000 marek, jak dziś, po 10-letniej działalności komisyi i po wydaniu 70 milonów, kosztuje każdy z osiedlonych kolonistów 60,000 marek — na marno, gdyż germanizacya tą drogą nie zrobiła żadnych postępów.

Pos. Ztng, rozbierając i ostro krytykując elaborat powyższy, stwierdza zupełną jałowość kolonizacyi i zaznacza, iż donosiciele ministra spraw wewnętrznych wywiedli go w pole. Gdyby nie ta mgła, tendencyjnie mu przed oczami rozsnuta, wiedziałby on, że właściwie nie Polacy, lecz towarzystwo hakatystów pracuje nad możliwie największem rozszerzeniem przedziału między obiema narodowościami. Wymownym dowodem w tej mierze jest skorowidz firm niemieckich, wydany w Poznaniu przez „H. K. T.“ wraz ze spisem firm polskich, noszących nazwiska niemieckie. Jest to środek brutalnej walki ekonomicznej, szydło, wyglądające z worka patryotyzmu niemieckiego. Trzeźwa jest rada *Pos Ztng*, ażeby minister zawczasu schował te 100 milionów, a zarazem zakazał urzędnikom należenia do towarzystwa „H. K. T.“

Mówiąc o sprawie kolonizacyjnej, dorzućmy wiadomość, podaną w *Kuryerze Poznańskim*, podobno z pewnego źródła, że komisya kolonizacyjna nie będzie już żadnych dóbr na parcelacyę kupowała.

Zebrania polskie przedwyborcze w Prusiech Zachodnich ciągle muszą walczyć z szykaną policyi pruskiej. Nie mając tym razem żadnych wyraźnych haczyków, przyczepiła się ona do braku lokalów odpowiednich. Skutkiem tego komitety wyborcze wpadły na myśl sprawienia namiotu przenośnego, ażeby się nareszcie uwolnić od nagabywań policyi. W Poznańskiem nie czyni ona trudności wyborcom. Niedawno odbył się wiec przedwyborczy w Środzie.

et.

Z NIEMIEC.

Berlin, 12 stycznia.

Dziwny pogrzeb. — Wypadek panny Koppen. — Ruch niewieści przeciwko nadużyciom policyi. — Prostytucya. — Los kobiet podwładnych. — Wyrok i jego motywy.

Przed kilku miesiącami głównemi ulicami Berlina posuwał się oryginalny orszak pogrzebowy, który zwracał na siebie uwagę zarówno mnóstwem uczestników, jak masą wieńców wiezionych na dorożkach za trumną. „Bürger,“ patrzący na ten pogrzeb, mniemał, iż wieczorem przeczyta w swej gazecie wzruszający nekrolog, który wysławiać będzie cnotliwą matronę, czułą matkę, kochającą córkę itp., a tu tymczasem ze zgrozą dowiedział się, iż odprowadzano na miejsce wiecznego spoczynku—prostytutkę, Maryę Thiele, zamordowaną przez niewiadomego złoczyńcę. Społeczeństwo w społeczeństwie, do którego ona należała, odsądzany od praw obywatelskich i ludzkich półświatek wyprawił jej pyszny pogrzeb, na dowód zaś solidarności współczucia i jako protest przeciwko ciążącej nań klątwie złożył 600 wieńców na mogile. Prasa zanotowała ten fakt oczywiście w rubryce kroniki bieżącej, gdzie umieszcza się rozmaite skandale lub dziwolągi. Poważniejsze atoli organy, zajęte zdrowiem ks. Bismarcka przeszły nad drażliwym wypadkiem do poważnych spraw porządku dziennego. Prostytucya bowiem należy do tych drażliwych kwestyj, które najlepiej pomijać milczeniem i jakkolwiek gangrena sprzedażnej rozpusty coraz głębiej wgryza się w organizm społeczeństwa niemieckiego, jest obowiązkiem każdego szanującego się pisma udawać naiwność nowonarodzonego dziecka i mieć minę uśmiechniętą na wzmiankę o najlepszym ze światów. Od dwu tygodni zaszła tu jednak zmiana do niepoznania. Głośno i bez ogródek rozbiera się tę kwestyę, zwołuje się w tym celu zebrania, wysyła petycye do kanclerza i sejmu rzeszy; stowarzyszenia zaś kobiece obradują z prezydentem policyi i rozniecily silny ruch, dążący do zreformowania kontroli nad prostytutkami. Cóż otworzyło te upusty milczenia, co zniewoliło do zdjęcia figowego listka wstydliwości i obnażenia zgnilizny społecznej? Przed pewną fabryką niejaka panna Köppen oczekiwała swego narzeczonego. Zagadnięta przez mężczyznę, czyniącego jej niedwuznaczne propozycye, dała mu odprawę. Obrażony donżuan zwraca się do policyanta, twierdząc, iż dziewczyna pierwsza go zaczepiła, co podług obowiązującego w Niemczech prawa rzuca na nią podejrzenie, iż trudni się prostytucyą. Policyant aresztuje niewinną dziewczynę, a gdy ta zaczyna się tłomaczyć, zabiera ją jako stawiającą opór gwałtem do rewiru, oczywiście w otoczeniu hałasującej łobuzeryi ulicznej. Tu musiała ona spędzić kilka godzin, aż do przybycia „zielonego furgonu,“ którym ją zawieziono w towarzystwie ładacznic do lekarza. Panna Köppen do ostateczności sprzeciwia się, ale wreszcie musi poddać się haniebnej procedurze wśród spazmów rozpaczy i drwin urzędników. Gdy wychodzi, uliczne kapłanki *Veneris Vulgivagae* odprowadzają ją z przepowiednią, iż częściej zawita w te same progi, jeśli raz już je przestąpiła. Społeczeństwo berlińskie podniosło alarm. Zajęto się niewinną dziewczyną i jej smutnemi przygodami, gdyż wypadki tego rodzaju zdarzały się w ostatnich czasach kilkakrotnie, a to, co dziś spotkało pannę Koppen, może jutro przytrafić się innej porządnej kobiecie. W ten sposób otworzono kampanię przeciwko policyi.

Wypadki ostatniego roku, zwłaszcza zaś bijący w oczy swą sromotnością proces Tauscha wykazał dostatecznie, jak wadliwą jest organizacya policyi pruskiej, która wbrew tym usterkom posiada taką potęgę, iż zdołała oplątać rząd i kopać dołki pod ministrami. Instytucya ta ze służebnicy rządu stała się jakby jego panią i rozkazodawczynią. A należy pamiętać, iż w żadnym kraju na świecie policya nie sprawuje tylu obowiązków, co w Niemczech. Nietylko piastuje urząd osławionego „stróża nocnego,“ czuwającego nad bezpieczeństwem ogółu i całością kas, lecz jednocześnie pilnuje moralności i prawowierności. Ona zrana przegląda gazety, ona cenzuruje sztuki teatralne, a często je poprawia, ona w gmachu giełdy łapie na gorącym uczynku kupców, prowadzących handel terminowy zbożem, ona dogląda zebrań i stowarzyszeń, daje paszporty, kontroluje szyldy, wyciąga gwałtem z łóżka dzieci, znane ze spóźniania się, wydaje koncesye na koleje elektryczne, a nadto zajmuje się jeszcze wieloma innemi sprawami politycz-

nemi. Czyż dziwno, iż policya pruska, świadoma swej odpowiedzialności i doniosłości swego stanowiska, stykając się ze zwykłym śmiertelnikiem, marnym obywatelom, traktuje go brutalnie? Kobiety żądają zaprowadzenia w Niemczech na wzór Anglii i Ameryki, „matron policyjnych.“ Czyż jednak ta reforma, której zresztą domagano się już przed pięćdziesięciu laty, może wywołać poważną zmianę w stosunku policyi do obywatelstwa kobiecego, dopóki ona rekrutuje się z pomorskich podoficerów, a opinia publiczna nie ma prawa wtrącania się do jej działalności? Prezydent policyi pod naciskiem prasy zaprosił do siebie przedstawicielki ruchu niewieściego i wtajemniczył je w organizacyę nadzoru moralnego. Prawdopodobnie wszystko pozostanie po dawnemu, gdyż jednostka obywatelska w zetknięciu z funkcyonaryuszem rządu w swej prawnej bezbronności mimowoli zgina się w pałąk. Publiczność przeto wymija i unika „schutzmanow.“ Nigdzie policya nie ściągnęła na siebie tyle nienawiści, jak tutaj. Są partye i pisma, których działalność ogranicza się do walki z nią. Szczególnie zasługuje na wzmiankę pod tym względem zgryźliwy „Simplicissimus,“ utrzymujący się z przypinania jej łatek. W tym tygodniu np. genialny karykaturzysta, Teodor Heine, przedstawił „schutzmanów,“ wpychających z łoskotem do rewiru siwą jak gołąb prezydentkę stowarzyszenia dla zwalczenia prostytucyi, jako podejrzaną o zaczepianie mężczyzn. Na jej protest jeden ze stróżów bezpieczeństwa nakazuje jej brutalnie milczenie, uspakajając tem, iż „sekcya wszystko wykryje.“ Lewe skrzydło obozu kobiecego nieco odmiennie określa swe pretensye, upatrując w publicznej bezbronności kobiety jeden z objawów gniotącego ją bezprawia. Bardziej radykalne bojowniczki emancypacyi posuwają się aż do żądania, aby kontrolę hygieniczną rozciągnięto i na mężczyzn, gdyż nie mniej od kobiet przyczyniają się oni do roznoszenia chorób zaraźliwych. Inne przy tej sposobności poruszają jeszcze głębiej kwestyę płciową. Już przed rokiem panna Schirmacher w broszurce „Moralność panów (*Herrenmoral*) i połowiczność kobiet“ skarżyła się na to, iż kobieta na ulicy znajduje się w ciągłem niebezpieczeństwie napaści przez nienasyconych spożywców mięsa niewieściego, a w nocy prawie nie może przejść przez ulicę. Dla zaznaczenia swego stanowiska i oburzenia zwołały onegdaj kobiety tutejsze olbrzymie zebranie, na którem wytoczono proces policyi i prawodawstwu krzywdzącemu kobietę za zgodą mężczyzn. Pani Caner, znana działaczka, napiętnowała barbarzyński zwyczaj, na mocy którego policya daje wiarę oskarżeniu pierwszego lepszego urwisa, pociągając niesłusznie spotwarzoną kobietę do odpowiedzialności i jednocześnie wymierzając jej publicznie policzek moralny. P. Caner opowiedziała, iż mówiła z prezydentem policyi w sprawie kontroli nad prostytutkami. Nieszczęśliwe te kobiety w wieku od lat 11 do 60 pochodzą przeważnie z warstw niezamożnych. Ponieważ Berlin liczy koło 600 tysięcy kobiet starszych od lat 15, więc na każde 5 kobiet uczciwych wypada jedna prostytutka. Pani Bieber-Böhm, wsławiona swą zupełnie bezskuteczną walką przeciwko rozpuście, dała zebraniu pojęcie o szerzeniu się chorób z tego źródła. Podług Virchowa, każdy dziesiąty Berlińczyk choruje na syfilis. Tylko wtedy, gdy kobiety będą miały możność wyrażania swych poglądów w parlamencie, ustanie barbarzyńskie prawo, które wykolejoną kobietę stawia pod pręgierz i skazuje na zepchnięcie z tarpejskiej skały godności. Zdaniem pani Bieber-Böhm jest to powszechnie znaną prawdą, iż pryncypałowie w większości wypadków nadużywają swego wpływu dla bezczeszczenia sklepowych lub robotnic. Świat smaga i kamienuje ofiarę, uwalniając od odpowiedzialności winowajcę. Nauczycielka, panna Miessner, przypomniała los pokojówek i młodszych, wpadających w sidła paniczów. Służące stanowią największy procent kapłanek Wenery. Stanowisko kobiety na ulicy i w miejscach publicznych przypomina czasy prawa pięści, kiedy silniejszy mógł bezkarnie pastwić się nad słabszym. Państwo samo popiera rozpustę, tolerując ją jako zawód i udzielając koncesyj na jej przybytki. W jaskrawych barwach przedstawiła zgromadzeniu panna Barkowska opłakane położenie sklepowych. Rozpusta szerzy się coraz straszniej w tej sferze, na co składa się zarówno położenie ekonomiczne źle opłacanych i wyzyskiwanych dziewcząt, jako też sułtańskie zachcianki chlebodawców, folgujących swym instynktom. Panna Augspurg, doktorka prawa, wygłosiła gorącą filipikę przeciwko współczesnemu społeczeństwu i poglądom mężczyzn, tudzież policyi. Gdy w Kolonii zaaresztowano pannę z porządnego domu, sędzia na skargę rodziców nadmienił, iż uczciwa kobieta wieczorem nie powinna spacerować sama. Policya ma nawet rozkaz śledzić każdą niewiastę, idącą wolnym krokiem przez ulicę. Tylko wyrok sądu, podług panny Augspurg, a nie widzi mi się policyi powinno skazywać kobietę na wtrącenie do piekła społecznego i poddawać kontroli policyjnej. Wogóle cała obyczajowość dzisiejsza trąci obłudą i świadczy o spaczonem poczuciu moralnem. Sędzia skazał np. potwarcę panny Köppen tylko na 6 miesięcy więzienia, ze względu na to, że jego ofiara utrzymywała ze swym narzeczonym stosunek natury nieplatonicznej.

Cóż na to wszystko — zapyta czytelnik—samo społeczeństwo, oskarżone o podwójną buchhalteryę, cóż na to mężczyźni, uczeni i publicyści, mający tysiąc frazesów i naukowo oszlifowanych zdań w zanadrzu dla wszelkich zawikłanych zagadnień? Czyż nie da się nic a nic zrobić dla starcia piętna hańby z naszej kultury, wyciśniętego na niej przez kobiety? Mnie, jako sprawozdawcy, pozostaje skromna i smutna rola skonotowania głębokiego milczenia ze strony mężczyzn wobec zarzutów, wystosowanych pod ich adresem.

H. F.

ZEBRANIE
TOWARZYSTWA DOBROCZYNNOŚCI.

Zwykle ciche i senne przygotowania do wyborów w Towarzystwie dobroczynności, przybrały obecnie postać bardzo żywej, a pod koniec gwałtownej agitacyi w dwóch kierunkach. Z jednej strony żywioły inteligencyi pragnęły na czele instytucyi postawić ludzi umożliwiających prawidłową i energiczną jej działalność zgodnie z ustawą i potrzebami czasu, z drugiej ciasny konserwatyzm usiłował zatrzymać jej ster w rękach ludzi, nieliczących się ani z tą ustawą, ani z temi potrzebami i ścieśniających jej zadania do przytułku dla żebraków, do rodzaju społecznej kruchty. Z natężenia obustronnych zabiegów, z walk prowadzonych prywatnie i publicznie, z ujawnionych nadużyć i przekroczeń władzy, co przyznał nawet zarząd Towarzystwa, zerwawszy solidarność z prezesem, można było przewidzieć, że zebranie wyborcze będzie bardzo burzliwe. Jakoż gromadzące się oddawna oburzenie wybuchło zaraz przy otworzeniu obrad. Nie możemy szczegółowo opisywać całego ciągu krzyków, protestów, oskarżeń, trwających przez całą noc, zaznaczymy tylko momenty ważniejsze.

Ponieważ opozycya miała powody do mniemania, że w ostatnich tygodniach pomnożono sztucznie liczbę uczestników zebrania wyborczego i że liczba głosujących nie będzie odpowiadała liczbie uprawnionych członków, więc wszczęła się naprzód wrzawa o sposób sprawdzania i składania kartek. Wrzawa ta spotęgowała się do najwyższego stopnia, gdy na wniosek adw. Leszczyńskiego zrewidowano skrzynki, które miały być puste i znaleziono w nich pięć kartek. Ostatecznie tę splątaną sprawę rozstrzygnęło ogólne znużenie, które zrzekło się ściśłej kontroli.

Po długim i krzykami złamanym oporze przewodniczący dał pierwszy głos adwokatowi Leszczyńskiemu, który w gruntownym i spokojnym wywodzie poddał sprawiedliwej krytyce samowolne, przeciwne ustawie i dobru instytucyi rozporządzenia i czyny prezesa. Wobec tej mowy inne miały znaczenie podrzędne lub tylko dopełniające. P. Łapiński dowodził, że Towarzystwo zasilają głównie ludzie niezamożni, podczas gdy arystokracya i bogate mieszczaństwo skąpią mu pomocy (znany przemysłowiec p. Hantke ofiarował w r. 1894 na czytelnię, której był opiekunem, 4 rs.). P. Jabłonowski żądał osobnego „podziękowania“ dla prezesa za wprowadzenie bezładu i zamętu do wyborów. Inni proponowali zniżenie opłaty składek, a p. Juszczyk krawiec-demokrata grzmiał... anti-demokratycznie. Prezes skierowano przeciw sobie ataki odpierał argumentami nieoczekiwanymi. Tak np. umieszczenie głosowania na początku obrad usprawiedliwiał dbałością o damy, które nie mogłyby znieść długiego gorąca w sali (na co mu krzyknięto: „my nie przyszliśmy tu flirtować!“), przedmiotowo zaś ani jednego zarzutu nie odparł.

Nareszcie około północy rozpoczęto obliczanie głosów: na prezesa wybrano znaczną większością prof. W. Brodowskiego, na wice-prezesa — p. Krzeczkowskiego; zarząd zmieniony został tylko w dwóch członkach.

Gdy nad ranem ogłoszono rezultat wyborów, ks. Radziwił, dotychczasowy prezes, będący sprawcą i przyczyną całej zawieruchy, przeprosił obecnych za wszystkie swoje błędy, zapewniając, że grzeszył nie ze złej woli, ale z nieumiejętności kierowania instytucyą. Był to najlepszy moment w całej jego działalności. Zrozumienie obowiązku, prawa i zadań instytucyi zawiodło go zupełnie, ale nie zawiodło go dobre wychowanie, które objawiło się w ostatniej chwili.

Słowem, co się stało, dobrze się stało, a ten wynik zawdzięczać należy głównie ludziom, stanowiącym zacną i gorącą duszę Towarzystwa.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Prądy zarazy.

Nici spraw obcych, przeważnie brudnych, wplatają się nieustannie w szarą i rzadką tkaninę naszego życia. Jest to dość zwykły los społeczeństw małych, zależnych w swych myślach, uczuciach, dążeniach, w materyale i rozwoju swej kultury od wpływów zewnętrznych, wychodzących z łona narodów wielkich i potężnych. Można się nie skarżyć, a nawet cieszyć, kiedy wpływy te przynoszą światło umysłów genialnych

a wzniosłe ideały serc szlachetnych, ale jakże smutno, jakże boleśnie widzieć przesączający się do naszej chaty strumień zgnilizny! Od lat wielu karmimy się błotem Europy, nie biorąc w wyrabianiu go żadnego udziału. Wstawszy rano, dostajemy w odczytanym dzienniku porcyę tej cuchnącej strawy, którą przez cały dzień zjadamy sami i częstujemy nią swoich znajomych. Był okres, w którym żywiliśmy się kradzieżami banków włoskich; był inny, w którym aż do mdłości i wstrętu nasycaliśmy się bulanżyzmem, potem matactwami Tauscha i jego spólników, a Panamę żujemy dotąd. Teraz przyszła kolej na sprawę Dreyfussa i Esterhazego. Logicznie sądząc, co nas, społeczeństwo oddalone, swoimi kłopotami zajęte, obchodzić może jakiś kapitan lub major francuski, chociażby jeden z nich był niewinnym, a drugi łotrem? A przecież od kilku miesięcy ta para smutnej sławy bohaterów tak tkwi w naszych głowach, tak nie schodzi z naszych pism, tak wypełnia nasze rozmowy i rozpala namiętności, jak gdyby oni byli naszą krwią i kością, jak gdyby stanowili bieguny osi naszego życia narodowego. Pomimo niechęci do zaprzątania nimi naszej uwagi, musimy stawiać ich sobie codziennie za przedmiot roztrząsań, domysłów, dociekań, sądów, bo nam każdego rana i wieczora gazety przypomną Esterhazego i Dreyfussa, bo telegraf, poczta, wszystkie środki reporteryi wielkiego świata wysypują przed nami ciągle kosz świeżych nowin w tej sprawie. A jeżeli coś tak ustawicznie narzuca się naszej myśli, jeżeli już mamy w naszem społeczeństwie „dreyfusistów“ i „esterhazistów,“ czy podobna o nich nie pisać? Niepodobna tem bardziej, że ten najnowszy skandal francuski wyrzucił z siebie kilka objawów, nad którymi zastanowić się trzeba.

Przedewszystkiem zaś okazał nam, że sprawiedliwość we Francyi przestała być boginią i zamieniła się na zwyczajną handlarkę. Nie rozstrzygam, czy Dreyfuss jest winien, czy nie winien, bo tego nie wiem i wiedzieć nie mogę; w każdym jednak wypadku Francya jest społeczeństwem zgniłem. Bo jeżeli winien, czy w narodzie moralnie zdrowym, który szanuje swoje prawa i ufa ich wykonawcom, mógłby się zawiązać „syndykat“ dla wywołania zawieruchy i wydobycia skazańca z rąk karzącej go słusznie sprawiedliwości? Więc tam można za pieniądze nawet to zrobić, można unieważniać wyroki sądowe, obmyć pokutującego zbrodniarza z winy, odbić go i uwolnić od pokuty zapomocą zorganizowanej bandy, która posiada dość pełne worki do prowadzenia takiego rozboju? Więc dlatego, że rodzina Dreyfussa rozporządza milionami, których część poświęciła na agitacyę, to ma być wznowiony proces jej członka, o którym niktby nie wspomniał, gdyby nad przestępcą nie świeciła gwiazda bogactwa! Byłby to fakt obydny, chociaż z naturą naszych czasów zupełnie zgodny. Tworzono „ryngi“ i „kartele“ dla obdzierania spożywców podniesionemi cenami miedzi, srebra, zboża, nafty, czemużby nie miano spróbować tego samego środka dla obalania wyroków sądu?

Przypuśćmy dalej, że Dreyfuss skazany został niewinnie, że popełniono na nim t. zw. „Justizmord“; w takim razie jakiemiż potworami są ludzie, którzy to uczynili, a nadewszystko ci, którzy znając ich niegodziwość, albo wreszcie tylko fatalną omyłkę, wzbraniają się ją naprawić, przywrócić cześć i swobodę ich ofierze? Słyszymy z ust prawników sakramentalne wyrazy: *res judicata*. Pojmujemy całą ważność i nietykalność „rzeczy osądzonej.“ Rzeczywiście, gdyby wskrzeszanie procesów rozstrzygniętych stało się łatwo dopuszczalnem, wznawianoby wszystkie i w społeczeństwie powstałoby rozprzężenie, utrzymujące w niem stały zamęt. Ale nie należy się zasłaniać tym względem we wszystkich wypadkach, w których pozostała najmniejsza wątpliwość co do winy skazanego. Zwyczajny śmiertelnik, chociażby nawet obłożony milionami, jest drobiną wobec masy narodu; wszakże ta masa powinna zadrżeć ze zgrozy lub trwogi w chwili, kiedy przez jej sumienie przemknie myśl, że owa drobina została przez sąd ciężko skrzywdzona i moralnie zabita. Wielka a niezasłużona boleść jednej duszy ludzkiej posiada taki majestat i taką potęgę, że przed nią powinno schylić czoła lub kornie uderzyć się w piersi całe społeczeństwo. To nie jest i być nie może *res judicata*. Sądy też nieraz wskrzeszają sprawy dawno osądzone i przywracają cześć skazanym, nie wynagradzając im nigdy przebytych cierpień.

Pisarz, a zwłaszcza pisarz rozległej sławy, którego głosu słucha jego naród lub świat cały, jest z natury swego stanowiska powołany na publicznego obrońcę pokrzywdzonych. Wprawdzie przyjmuje on i piastuje tę godność bardzo rzadko. Uczeni zatapiają się w zagadkach wiedzy, artyści — w obrazach piękna, mało dbając o to, że tam ktoś płacze krwawemi łzami. Jedni wydają bardzo mądre dzieła, drudzy tworzą artystyczne powieści lub dramaty, lecz nawet na myśl im nie przychodzi, ażeby swoje pióro zamienić na piorun i uderzyć nim w niegodziwców, którzy obok nich popełniają zbrodnie i wydrzeć im nieszczęśliwe ofiary. Będą oni najtroskliwiej wywiadywać się o mieszkańców Marsa, rozczulać się nad męczennikami z przed tysiąca lat, będą malowali najdelikatniejsze drgnienia strun serca postaci zmyślonych, ale nawet nie obejrzą się, usłyszawszy najwymowniejszą skargę lub jęk rozpaczliwy. Przechodzą obojętni śród najstraszniejszych tragedyj życia współczesnego, zapatrzeni w tragedye snów swoich.

Znakomity pisarz francuski otrzeźwił się z tego snu wobec sprawy Dreyfussa—Esterhazego i poczuł w sobie obowiązek rzucenia swego głosu na jej ważące się i namiętnościami przechylane szale. Uwierzył on w niewinność Dreyfussa — słusznie, czy nie słusznie, jest to kwestya inna, prawie obojętna, a w każdym razie niemająca żadnego wpływu na szlachetność jego pobudek i czynu. Dla mnie, ażeby mu złożyć najszczerszy hołd, ażeby jego śmiałe wystąpienie uznać za najpiękniejszy wylew uczuć znakomitego pisarza, wystarcza to, że on uwierzył w niewinność skazańca i że naśladując przykład swego wielkiego poprzednika, Voltaire'a, postanowił również wywalczyć dlań sprawiedliwość, nie posiadając żadnej innej władzy i środka, prócz zamkniętej w piórze siły talentu i szerokiego wpływu. W jednem z pism warszawskich, popisującem się zuchwalstwem ucinania głów olbrzymom i przyprawiania ich karłom, poważono się nazwać wystąpienie Zoli wybrykiem „zarozumialca.“ Trzeba być urodzonym lokajem, ażeby się zdobyć na podobną obelgę. Co dziennikarskiemu lokajstwu wydaje się „wścieklizną,“ to dla czcicieli sprawiedliwości jest szlachetnem męztwem. I chociażby nawet dowiedziono, że Dreyfuss sto razy chciał zdradzić Francyę, prawda ta nie obniży wzniosłości porywu Zoli i tylko może świadczyć przeciw jego rozwadze.

Należałoby przypuszczać, że jeśli kto, to młodzież dojrzalsza, studenci, te dusze płonące niezgaszonymi i niesplugawionymi ogniami szlachetnych uczuć, zrozumią i ocenią rzucenie się w walkę Zoli. Tymczasem oni to właśnie wysypali się na ulicę i zmieszani z motłochem wrzeszczą dziko: „Opluć Zolę.“ Nie należę do wielbicieli autora *Ziemi* i *Nany*, jego powieści odrażają mnie nieraz swoim odorem, pragnąłbym je wyprać i wypłukać z brudów; mimo to widok młodzieży, nawołującej do „opluwania“ mistrza swej literatury za to, że on uwierzył w niewinność skazańca i pragnie go ratować, przejmuje mnie takim wstrętem, że chciałbym... pluć na młode pokolenie, które ujawnia takie popędy. To nie żywotny i piękny zaczyn narodu, to jego zgniłe płody, poczęte w chwilach rozpusty, pijaństwa i zezwierzęcenia.

Jak rzekłem, sprawa Esterhazego i Dreyfussa jest błotem miejscowem, ale ponieważ ono przesiąka do nas, więc należało je rozebrać*). Nie w tym jednym wypadku Europa nas zaraża—brońmy się od niej. A jeżeli koniecznie chcemy, czy musimy zajmować się jej zgnilizną, starajmy się przynajmniej ustrzedz własne życie, własne uczucia i myśli od jej miazmatów. To będzie jedyna korzyść, jaką odnieść możemy z tego przepływu obcych mętów do naszego społeczeństwa.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

ZARYS DZIEJÓW FILOZOFII PIERWOTNEJ.

IV.

Wychodząc z dzikich i śmiałych mitów o przyrodzie — pisze E. B. Tylor**) — w których dzicy zawarli wszystko, czego ich nauczyły dziecinne spostrzeżenia o wszechświecie, etnograf może iść śladem tych fikcyj aż do czasów, gdy zostały ukształtowane i wcielone w skomplikowane systemy mitologiczne.“

System filozoficzny epoki pierwotnej, rozprzęgając się pod wpływem postępującego doświadczenia, nie ginie odrazu. Dzieje sławnego Koliseum w Rzymie mogą posłużyć poniekąd za obraz jego losów. Część murów rozpadła się i wykruszyła pod działaniem czasu, część pewną rozebrano, ażeby użyć za materyał do wzniesienia gmachów Rzymu średniowiecznego, cząstka jeszcze sterczy, jako antyk, bez praktycznego użytku.

Tak samo systematy filozoficzne, będące wyznaniem poglądów gromady na wszechświat, rozkładając się, częściowo wchodzą w skład następcy. Myśliciele epoki późniejszej niekiedy nie wiedzą, co mają począć z tymi szczątkami okresu ubiegłego, jak to nam okazuje historya myśli krytycznej w Grecyi klasycznej lub w Egipcie starożytnym. Zaiste, co Grek wykształcony epoki aleksandryjskiej myślał o gromodzierżcy Zeusie, który, bez najmniejszych względów dla swego boskiego stanowiska, przybierał kształty łabędzia, ażeby uwieść dziewczynę lub też zapaławszy żądzą, spadał jako deszcz złoty; który dopuścił się wielu potwornych zbrodni, niemożliwych w uporządkowanem pożyciu społecznem i niezgodnych z rozwiniętą moralnością. I nietylko ojciec bogów, ale każdy z członków Olimpu miał na sumieniu niezbyt moralne postępki. Nawet ceremonie i obrzędy, związane z kultem niektórych bóstw, odznaczały się charakterem tak rozpasanym i swawolnym, dzikim i krwiożerczym, że dawały przykład jak najgorszy. My dzisiaj wiemy, że rysy rozpusty, zbrodni

*) Sprawa ta tak się wdarła do uwagi naszego społeczeństwa, że dokładny jej przebieg podajemy na innem miejscu w oświetleniu sprawozdawcy politycznego.

**) E. B. Tylor: *Cywilizacya pierwotna*. Tom I, str. 231—2. Warszawa.

i swawoli były przeżytkiem dzikości pierwotnej, gdy bogów pojmowano po swojemu i czynów ich nie mierzono łokciem moralności cywilizowanej, gdy wreszcie i sama moralność była inną, bo tolerowała ojcobójstwo i dzieciobójstwo, gwałcenie i przelew krwi, a nawet otaczała urokiem sławy i uznania. Wierzący filozofowie greccy, uczeni aleksandryjscy, oraz teologowie hindusey, widząc w fizyognomii bogów takie rysy ohydne i niemoralne, włożyli dużo pracy w próby pogodzenia tych niedorzeczności z nowemi, doskonalszemi pojęciami o bóstwie, a przynajmniej wytłomaczenia ich. Wyjaśniano zbrodnie Zeusa jako alegoryę, wpadnięto nawet na pomysły, pokrewne szkole filologicznej Maksa Müllera, głoszono teorye w rodzaju Herberta Spencera, że bogowie byli ludźmi, których po śmierci cześć zaczęto. Bądź co bądź jednak, niemoralność bogów, ich zamiłowanie w postaciach zwierzęcych i w krwiożerczości, ich waśnie o drobnostki stanowiły wielką zagadkę dla cywilizacyi heleńskiej, jej słabą a zarazem bolesną stronę, gdy rozwój warunków materyalnych doprowadził do powstania głębszych i filozoficzniejszych pojęć o stosunku żywiołów nadprzyrodzonych do człowieka*).

W wywodach dotychczasowych zaznaczyliśmy, że w okresie pierwotnym rozwoju umysłowego gromada tworzy, myśliciele zaś formułują nowy system filozoficzny. Pierwiastków nowego pojmowania przyrody dostarcza rozwijające się życie, pozwalające człowiekowi zetknąć się z kosmosem w większej liczbie punktów i przeciwstawiające dawnemu materyałowi faktycznemu nowy, rozleglejszy. Należałoby więc wnioskować, że, jak to przypuściliśmy, podczas każdej dostatecznie wyodrębnionej formacyi stosunków rzeczowych powinno panować określonej treści pojmowanie przyrody, jej sił i stosunku do człowieka. Rzeczywistość jednak zadaje poniekąd kłam takiemu przypuszczeniu. Morgan, badając ewolucyę rodziny w związku z rozwojem nomenklatur pokrewieństwa, znalazł, iż z biegiem czasu formy pożycia małżeńskiego zmieniają się, lecz że w tym przebiegu nazwy pokrewieństwa opóźniają i przystosowywują się do nowych stosunków rodzinnych zwolna, przez długie okresy, nieodpowiadając im, a nawet będąc z niemi w niezaprzeczonym antagonizmie formalnym. Ktoś, komentujący wywody Morgana, zaznaczył, że można zdanie badacza amerykańskiego znacznie rozszerzyć, gdyż i systemy prawne i polityczne, filozoficzne i moralne zachowują się w toku ewolucyi społecznej tak samo, tj. pozostają one zawsze odbiciem warunków bytu rzeczowego i powstawszy, trwają pośród nowej formacyi, rozkładają się tam i ustępują miejsca nowemu tworowi — już pod działaniem powolnej pracy organicznej życia, to znowu zwalone gwałtownie, stosownie do związku tej lub innej dziedziny z bezpośrednim życiem. Systemy filozoficzne, o które tylko nam chodzi w chwili obecnej, stając na drodze nowym potrzebom nie w tak ostrej formie, odznaczają się zdolnością utrzymywania się jeszcze długo na powierzchni życia, chociaż pierwiastki, które powołały je do bytu, już zniknęły. Badając pochód pierwotnej myśli filozoficznej, wciąż widzimy, jak poglądy, zrodzone w wiekach ubiegłych, wchodzą organicznie w nowy system pojmowania przyrody i wiążą się z nim w zwartą całość. Historya Egiptu z jego kultem zwierząt, tym przeżytkiem epoki najpierwotniejszej, dostarcza wymownego przykładu. Właśnie pod naciskiem takiego ciążenia przeszłości nad teraźniejszością, system filozoficzny, panujący w pewnej chwili historycznej nad umysłami gromady, przestaje być tem, czem byłby, gdyby tylko warunki rzeczowe działały i wyłaniały atmosferę ideologiczną. Nowe pierwiastki rzeczowe, pojawiając się w życiu, rozszerzają zakres punktów zetknięcia się człowieka z przyrodą: zamiast zwierzęcia dzikiego dają mu oswojone, zamiast wołu — pług parowy, zamiast konia parowego — siłę elektryczności, lub rękę jego, pierwotnie nieużytkującą z narzędzi, uzbrajają w grot, później w iglicówkę, aparat telegraficzny itd. Pierwiastki te, dostarczając nowego materyału faktycznego, zmuszają umysł do wprowadzania zmian w dotychczasowem pojmowaniu przyrody. Są one przyczyną, wywołującą przewrót, który odbywa się w mniej lub więcej szybkiem tempie, stosownie do napięcia zmian w rzeczowem podłożu życia gromadnego. Pod działaniem takich wpływów pewna część przeszłości, sformułowanej w systemie filozoficznym, ginie, inna doznaje przekształceń. Może z upływem czasu powstanie wreszcie system zgoła nowy, będący w zasadniczych swych założeniach odbiciem istniejącego podłoża rzeczowego, lecz nigdy nie wolny zupełnie od ozdób przeżytkowych. Zeus niegdyś był orłem i stał się człowiekiem dopiero w okresie późniejszym, lecz orzeł pozostanie jego symbolem. A im dalej posuwamy się w dół po pasmie rozwijającej się myśli, tem obfitsza spuścizna bywa wplatana w system obowiązujący w danej chwili. Dopiero epoka dzisiejsza, podległa takiej rewolucyi technicznej, tak mnożąca nowe punkty zetknięcia się z kosmosem, za pomocą teleskopu, mikroskopu, analizy spektralnej i innych przyrządów i metod tak zwiększająca liczbę sposobów przenikania w tajniki przyrody, tak szybko przekształcająca warunki i widnokręgi życia codziennego, dopiero ona, i właśnie z powodów tylko co wyłuszczonych, wniosła taki sam gwałtowny i szybki przełom w rozwój myśli filozoficznej.

Ażeby odszukać przeżytki ubiegłych okresów myśli filozoficznej, nie potrzebujemy szukać zbyt daleko. I nas samych otaczają gromadnie szczątki prastarej filozofii, dokładniej: prastarych filozofij. Lud nasz wyznaje poglądy, których pochodzenia winniśmy poszukiwać wśród najniżej stojących szczepów rodu ludzkiego. Skrupulatnie pali on włosy po ostrzyżeniu, bo wierzy, że gdyby ptak wziął je na gniazdo, były właściciel cierpiałby na ból głowy. Włościanka rzuca ząb w piec, tyłem odwróciwszy się, bo w innym razie szczęka dolegałaby. Nie wymówi ona nazwiska „złego“ i wilka, bo, zgodnie z przysłowiem „o wilku mowa, a wilk tuż,“ mniema, że wymówione imię sprowadzi tych szkodników. Nie poda także chleba przez próg, bo takie postępowanie „zagrodziłoby“ przyjaźń. Lud nasz choroby traktuje jako istoty, które weszły w ciało i które trzeba wygnać stamtąd:

Różo, różyco*),
Kołtunie, kołtunico,
Wyleź z głowy
W piersi,
Z piersi w brzuch,
Z brzucha w kości,
Z kości w golenie,
Z goleni w stopy,
Z stóp w palce,
Z palcy na sto łokci w ziemię.
Nie ja lekarz,
Pan Bóg lekarz!

My, należący do tak zwanej inteligencyi, rozstaliśmy się z przesądami i niejednokrotnie szydzimy z zabobonów i guseł. Atoli i w nas żyje prastara filozofia i ujawnia się najniespodziewaniej w zwrotach mowy, w doryweczem rozumowaniu. Nasze wyrażenia: „różowy humor,“ „czarne i posępne myśli,“ „czarna melancholia“ są odgłosami bardzo dalekiej przeszłości, cegiełkami, które wyjęto z olbrzymiego, zwartego gmachu i wmurowano w zgoła odmienną całość. „Za dziewięciu rzekami,“ „trzy po trzy“ utraciły wszelkie racyonalne znaczenie, ale ongi były ogniwami bardzo konsekwentnego systemu poglądów kosmicznych. Także o kimś, kogo ocuciliśmy z omdlenia, mówimy: „przyszedł do siebie,“ „powrócił do siebie,“ nie zdając sobie sprawy, iż wygłaszamy zwroty, będące płodem tego okresu, gdy mniemaliśmy, iż sen lub omdlenia wynikają z odejścia sobowtora, zamieszkującego ciało nasze.

Słowem, tworzą się pokłady filozoficzne nad pokładami, jedne kruszą się i wietrzeją, inne powstają i wchłaniają poprzedników. Życie, ten nieustający rewolucyonista, działa, wysuwając naprzód gromady jako żywiołowych twórców nowego poglądu na świat, dojrzewającego pod wpływem wzorów doświadczenia codziennego, i posługuje się myślicielami jako narzędziami do sformułowania tego, co otoczenie poddało umysłowi.

L. Krzywicki.

*) Por. wywody A. Lange'a o tym okresie krytycznym u Greków: *Mythes, cultes et la religion*. Paryż.

*) *Wisła*, tom X, str. 705.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Ignacy Matuszewski: *Swoi i obcy* (Pokrewieństwa i różnice), zarysy literacko-artystyczne. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1898, str. 512.

I. Matuszewski jest zwolennikiem i obrońcą *subjektywizmu* w krytyce, którą uważa raczej za sztukę, aniżeli za naukę; ponieważ jednak z usposobienia swego nie lubi krańcowości, więc też i subjektywizmowi swemu pewne, dość nawet mocne nakłada hamulce. W zastosowaniu praktycznem pogląd taki pojawiał się i u nas niejednokrotnie; w teoryi książkowej ukazuje się podobno po raz pierwszy; warto mu tedy przyjrzeć się dokładniej, gdyż, źle zrozumiany, mógłby się przyczynić do zwiększenia chaosu pojęć, jaki u nas pod tym względem grasuje.

Autor zaczyna swój wywód bardzo zdaleka, bo od teoryi poznania, według której nie możemy wiedzieć na pewno o niczem więcej, jak tylko o stanach naszej duszy. Takie ugruntowanie teoryi subjektywizmu w krytyce wydaje mi się mniej potrzebnem, bo ci, którzy najbardziej nastawali na objektywne znaczenie krytyki, jak np. Hipolit Taine, doskonale świadomi byli wyników rozbioru psychologicznego pojęć naszych i sami je głosili. Termina: podmiotowość i przedmiotowość (subjektywizm i objektywizm) oparte były u niego i u pokrewnych mu umysłów na uwzględnieniu owych wyników teoryi poznania i nie znaczą bynajmniej tego, co im p. Matuszewski podsuwać się zdaje. Krytykując np. zdanie: „widzę kamień,“ nie o to idzie, czy przedmiot zwany kamieniem jest w istocie takim, jakim sobie wyobrażamy, ale o to, czy wszyscy ludzie, zdrowymi obdarzeni zmysłami, potwierdzą moje zdanie, czy też będą utrzymywali, że to tylko *moja* halucynacya. W pierwszym wypadku przyznano będzie mojemu spostrzeżeniu znaczenie objektywne, w drugim — subjektywne. Z tego powodu nie mogę przystać na opinię p. Matuszewskiego, jakoby w „dzisiejszej *gwarze naukowej*“ wyrazy: subjektywny i objektywny miały znaczenie „najzupełniej konwencyonalne“ — jeżeli naturalnie autor miał tu na myśli rzeczywistą naukę, nie zaś żargon dziennikarsko-literacki. Śmiem utrzymywać, że w języku

naukowym wspomniane wyrazy mają nie „konwencyonalne,“ lecz ściśle określone umiejętne znaczenie, którego w sprawie jasności pojęć ani lekceważyć, ani zaciemniać nie należy.

Spieszę jednak zaraz dodać, że p. Matuszewski dba wielce o jasność pojęć i w dalszym ciągu wywodów swoich stara się wyraźnie i dokładnie wypowiedzieć, co rozumie przez subjektywizm w krytyce.

Uwydatniwszy dobitnie i bardzo słusznie doniosłość podmiotowego, indywidualnego pierwiastku w sztuce, wywodzi stąd uprawnienie takiegoż pierwiastku w krytyce. Ku potwierdzeniu tego wniosku powołuje się autor na znane przysłowie łacińskie, iż o gusty sprzeczać się nie można. Gdyby p. Matuszewski chciał był bez uprzedzenia subjektywnego zastanowić się nad tem przysłowiem, to zamieściłby je zapewne w grupie tych „liczmanów myśli i mowy,“ o których w innem miejscu swej książki tak trafnie i dowcipnie pomieścił uwagi. Przysłowie bowiem to ma swoje uzasadnienie, ale tylko w pewnym, ograniczonym zakresie. Niewątpliwie, żadna argumentacya nie zdoła nikogo *na razie* przekonać, że to, co mu nie smakuje, smakować powinno, że to, co uważa za brzydkie, pięknem nazwać wypada itd. Wiek, temperament, stopień ukształcenia, rodzaj zajęcia, nałóg i tym podobne czynniki sprawiają, że gusty jednostek są różnorodne, a nieraz wprost sobie przeciwne. Nie jest dowcipnem tylko, lecz istotnie słusznem twierdzenie, że istnieje osobna estetyka chłopów, kucharek, dzieci, pensyonarek, światowców, geszefciarzy itd. Z psychologicznego punktu widzenia wszystkie te estetyki są uprawnione, ale czy idzie za tem, że je do godności naukowej podnieść należy? Pisma „humorystyczne“ podawały i podają krytyki arcydzieł dramatycznych ze stanowiska różnych stanów, rodzajów zajęć, stopni ukształcenia; jeżeli to robią dowcipnie, śmiejemy się z tych krytyk do rozpuku, lecz zapewne żadnemu subjektywiście nie przyszło na myśl inaczej je traktować, niż je autorowie ich przedstawili, tj. żartobliwie.

Nic słuszniejszego. Zadaniem ludzi szerzących oświatę nie jest bynajmniej obniżanie poziomu wiedzy i wykształcenia, lecz raczej stopniowe uprzystępnianie go dla warstw możliwie jak najszerszych. Wszystko, a więc i smak estetyczny można udoskonalić za pomocą odpowiedniej uprawy. Co dla dziecka jest niezrozumiałe i nieprzystępne, a więc nudne, to z czasem, przy odpowiedniej kulturze może stać się przedmiotem jego uwielbienia tak samo, jak ogółu ukształconych w danym czasie i miejscu.

I tu wszakże przejawić się może indywidualność wychowańca. Jak dwu liści, tak i dwu umysłów zupełnie do siebie podobnych nie ma na świecie. Rozumny pedagog nie będzie więc tłumił objawów sądu i smaku samodzielnego, gdyż wie, że pomimo wszystko sprowadzą one zaledwie dostrzegalną zmianę czy odcień w ogólnej sumie poglądów estetycznych. Pomimo różnic mniej więcej wielkich, jakie zachodzą w duchowym nastroju jednostek, ustaliły się przecież ściśle określone zdania co do wartości zarówno poszczególnych dzieł, jak i całych literatur ludzkości. Ta zgoda nie jest wynikiem samej tylko bierności umysłów w przyjmowaniu tego, co zostało uznanem za piękne lub brzydkie, lecz musi być także uważana za skutek jakichś wspólnych poczuć i pojęć, które się w zakresie piękna wyrobiły wśród pewnych ras, wśród pewnych narodów, a raczej wśród grona ukształconych w tych rasach i w tych narodach. Najzacieklejszy indywidualista zaprzeczyć temu nie może, gdyż inaczej odjąłby sobie wszelką możność porozumienia się z ludźmi i musiałby tworzyć jedynie i wyłącznie tylko dla siebie. Wprawdzie można wśród indywidualistów napotkać i takie twierdzenie, ale jest ono albo wynikiem chwilowego ustroju, albo też objawem hipokryzyi.

Jak niedawno jeszcze na znaczenie mas, tak teraz ponownie zaczęto kłaść nadmierny nacisk na znaczenie jednostek, już nietylko genialnych, lecz wszelakich. Kto sobie uprzytomni, jak historya naukowa w krótkich słowach streszcza dorobek cywilizacyjny całych wieków i narodów, ten nie da się uwieść krzykliwym hasłom mody indywidualistycznej.

Daleki jestem od przypuszczenia, iżby p. Matuszewski chciał modzie hołdować; za dużo ma na to wykształcenia rzetelnego i samodzielności myślowej. Jeżeli w niektórych miejscach rozprawy swojej zbyt wielką przyznał doniosłość pierwiastkowi subjektywnemu, to w innym zakreślił mu granice takie, że umiarkowany zwolennik przedmiotowości krytycznej może na nie przystać bez wahania.

P. Matuszewski domaga się od krytyka wielkiej wrażliwości na piękno — doskonale! Każdy rozsądny podpisze zdanie, wypowiedziane przez Guyau, a przytoczone przez naszego autora. „Krytyk idealny jest człowiekiem, któremu dzieło sztuki najwięcej poddało uczuć i myśli, i który dzieli się niemi z ogółem. Jest to ten, który zachowuje się najmniej biernie wobec utworu artystycznego i odkrywa w nim najwięcej treści.“

Na samej atoli wrażliwości artystycznej poprzestać nie można, bo tym sposobem uprawniłoby się najdziwaczniejsze pomysły i najniedorzeczniejsze sądy. To też p. Matuszewski mówi bardzo słusznie: „Najbardziej wrażliwemu i zdolnemu krytykowi nie wolno być nieukiem. Krytyk literacki, który nie przestudyował źródłowo i sumiennie dziejów literatury powszechnej; krytyk plastyczny, który nie zwiedził muzeów i galeryj; krytyk muzyczny, który nie zgłębił najważniejszych symfonij i oper, będzie tylko mniej lub więcej utalentowanym fejletonistą dyletantem, ale nigdy krytykiem. Prócz gruntownej znajomości samego przedmiotu, trzeba koniecznie poznać i dzieje sztuk innych, oraz starać się o nabycie wiadomości z zakresu filozofii, psychologii, historyi i wielu nauk, stykających się pośrednio i bezpośrednio z obraną gałęzią studyów. Dopiero wyćwiczywszy swój talent w takiej szkole i stanąwszy na pewnym fundamencie, może krytyk ufać swoim osobistym wrażeniom o tyle, aby im nadawać formę t. zw. *sądów*.“

Na to najzupełniejsza zgoda. Muszę tylko dodać uwagę, że wrażenia krytyka będą w tym wypadku *osobistemi* wprawdzie, bo doznawanemi przez niego samego, ale utracą znaczną część swej subjektywności, gdyż w ich skład wejdą tysiączne pierwiastki, niebędące wynikiem jego pracy indywidualnej, wzięto z wiekowej pracy innych ludzi, którzy nad filozofią, psychologią, historyą powszechną i artystyczną pracowali. W danej chwili, kiedy krytyk wrażeń doznaje lub je jako „sądy“ formułuje, może on nie pamiętać, skąd mu przyszły rozmaite wiadomości; ale jeśli jest filozoficznie wykształcony, to potrafi w chwili rozwagi zdać sobie sprawę z czynników, które się na wytworzenie jego inteligencyi, a więc i sądów poszczególnych złożyły. I przypomną się mu prawdziwe i głębokie słowa Mickiewicza: „Nieraz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie, a ono jest wyssane w macierzystym chlebie, albo niem nauczyciel poił ucho twoje... stąd cudze malowidła, własne wzroku skazy, omyłką na zewnętrzne przenosim obrazy...“

Jesteśmy spadkobiercami wiekowiekowej cywilizacyi i choćbyśmy jak najbardziej chcieli, niepodobna nam zostać czystymi, bezwzględnymi indywidualistami, gdyż ani urodzeniem swojem, ani wychowaniem i pierwotnem wykształceniem dowolnie rozporządzać nie możemy. Musimy więc poprzestać na tej szczupłej cząstce samodzielności, jaką nam warunki istnienia narodów cywilizowanych wydzielają. Dobrą, konieczną jest nawet rzeczą pobudzać do samodzielnego myślenia, czucia i działania, bo zbyt wiele jest skłonności w ludziach do bezmyślnej rutyny, do wszelkiego rodzaju nałogów, z którymi walczyć potrzeba, żeby potrzebne reformy przeprowadzić. Niebezpiecznie jest atoli rozdmuchiwać pretensye zarozumialców, gotowych w imię indywidualizmu zdeptać i oplwać drogo okupione nabytki rozwoju cywilizacyjnego. Dla samych tych nabytków niewielka zapewne wyniknie stąd szkoda, lecz w doskonaleniu myśli społecznej może nastąpić wcale niepożądane zamieszanie.

(D. n.).

P. Chmielowski.

LITERATURA WŁOSKA.

L. A. Butti.

Butti uważany jest jednogłośnie przez krytykę za „nową gwiazdę literatury włoskiej.“ Urodził się w Medyolanie 1868 r. Po ukończeniu gimnazyum studyował po kolei medycynę, matematykę i prawo. Szukał swej istotnej natury naprózno we wszystkich tych dziedzinach i nareszcie znalazł ją w literaturze, a mianowicie w powieści psychologicznej.

Pierwszy jego utwór, zatytułowany „Automat,“ przedstawia dość pospolity wypadek choroby, zaniku woli u osoby obdarzonej normalną uczuciowością i inteligencyą. Autor złożył tu dowody głębokiej analizy, umiejętności oddawania wszystkich zmian i przełomów duszy ludzkiej. Powodzenie było natychmiastowe. Butti przerzucił się w inną dziedzinę — teatr; napisał trzy dramaty: „Gorzki owoc,“ „Otchłań“ i „Utopia,“ które już nie tak przychylnie zostały przyjęte; niektórzy zaprzeczają nawet, aby autor posiadał talent dramatyczny. Następnie dał tom krytyk literackich, studyum obyczajowe, zatytułowane „L'Immorale“ — wszystko to jednak nie dawało jeszcze istotnej miary młodego pisarza. Krytyka domagała się dzieła ostatecznego i trwałego. Za takie wreszcie uznano „Duszę,“ która pojawiła się w r. 1894.

Autor wstąpił tu w dziedzinę patologii duchowej, hypnotyzmu, halucynacyi i telepatyi. Nawet ta ostatnia kwestya jest już obecnie traktowana w sposób czysto naukowy, mianowicie przez Paulhana, i należy przyznać, iż analiza Buttiego nie pozostawia pod względem ścisłości nic do życzenia, a jednak wrażenie, jakoby sam autor przyznawał w tych zjawiskach uczestnictwo sił nadzmysłowych, pozostaje po przeczytaniu książki niezatartem. Sądzimy wszakże, iż była to raczej próba wskrzeszenia we Włoszech neo-mistycyzmu, za przykładem Huysmana, który we Francyi miał pod tym względem duże powodzenie. Niezależnie jednak od tego powieść może być uznana za znakomitą i w zupełności potwierdza zdanie krytyka angielskiego, Symondsa, który niegdyś przepowiadał, iż „Butti stanie się jednym z największych pisarzy swego kraju.“

Bohaterem „Duszy“ jest student medycyny na ukończeniu, Sarcozi, zdolny, ambitny i rozpustny młodzieniec. Dopiero co zerwał stosunek miłosny z Heleną Barsis, żoną swego przyjaciela. Po gorącem, zmysłowem upojeniu, czuje potrzebę bardziej

czystych i czułych uniesień. Właśnie poznał rodzinę majora Lacoti, mającego piękną acz chorowitą córkę, Joannę; zaczął u nich bywać i dobijać się względów młodej dziewczyny. Spotkała go dziś chłodno i sucho i tem rozdrażniła Alberta do takiego stopnia, iż daje sobie słowo uwiedzenia jej, poczem z dyplomem w kieszeni mógłby sobie czmychnąć z Pawii, gdzie intryga się odbywa. Joanna stawała mu się wciąż przychylniejszą, a jednak była między nimi jakaś niezrozumiała przeszkoda.

„Bez wątpienia — opowiada bohater— oddawała mi się coraz bardziej powolnym i niepostrzeżonym postępem, a jednak pozostawała w niej jakaś tajemnica, nieprzenikniona dla mej ciekawości. To ponure skupienie, w które często wpadała, ta głucha bierność, którą przeciwstawiała mym namiętnym wybuchom, te szybkie przejścia od wesela do melancholii, od rozmowności do milczenia, od żywej uwagi do zupełnej obojętności na sprawy świata zewnętrznego, wszystkie te rzeczy wystawiały wciąż między nami niewidoczną przeszkodę, przeciw której wszelkie wysiłki ostatecznego zbliżenia musiały fatalnie spełznąć na niczem."

Z biegiem czasu opór Joanny coraz się zmniejszał. Przyjmowała wynurzenia miłosne Alberta, wreszcie i sama wyznała, iż go kocha. Chęć uwiedzenia znikła w nim. Nastąpił szczęśliwy okres czułej miłości.

W nim jednak nie zamarła pamięć tego, co wydawało mu się niejasnem w jej dawniejszem postępowaniu. I owszem, teraz gdy opór z jej strony znikł, zaczęło w nim rosnąć niedowierzanie ku jej przeszłości. Zaczął ją prześladować dwuznacznikami i sarkazmami. „Nie mogę sobie przypomnieć wszystkich ironij, wszystkich szyderstw, które wymknęły się z mych ust w tych dniach przewrotnego okrucieństwa. Ona nie rozumiała, spoglądała na mnie, jakby pytając: co ci jest? czego chcesz ode mnie? Następnie stawała się znowu smutną, spuszczała swe czoło blade jak wosk i wpadała w milczenie melancholijne."

Joanna czuła się coraz słabszą, miewała dawne ataki nerwowe, zaczęła się oddalać od Alberta i wreszcie oświadczyła, iż uważa ich stosunek za zerwany.

W Sarconim odepchnięta namiętność wije się z bólu. Jest on tak nieszczęśliwy i błagający, iż Joanna zgadza się objaśnić mu, co w życiu jej było dlań niejasnem i co zmusza ją do zerwania. Przed czterema laty zakochał się w niej młody człowiek, któremu nietylko nie odpowiadała wzajemnością, ale przeciwnie czuła ku niemu żywy wstręt. Odjechał, przeklinając.

„Ubiegło prawie cztery miesiące od jego wyjazdu — opowiada Joanna — i prawie zupełnie straciłam go z pamięci. Pewnej nocy, trzeciego września, zerwałam się ze snu. Nie umiem ci powiedzieć, com czuła, ale wydawało mi się, iż ktoś jest ze mną w pokoju... Zapaliłam świecę i czekałam, objęta strachem. Naraz ujrzałam go. Stał nieruchomy, z twarzą bladą i bolesną, utkwiwszy we mnie swe straszne, czarne oczy. Chciałam mówić, krzyczeć, wołać o ratunek, ale napróżno. Język mój był jak sparaliżowany, nie mogłam wypowiedzieć ani słowa. Wówczas on przemówił: Dla ciebie umarłem!"

Istotnie, okazało się następnie, iż Silvio — tak się nazywał — zabił się tej nocy.

Autor widocznie trzymał się w tej opowieści przykładów analogicznych, które Paulhan podaje za zupełnie wiarogodne, w swej rozprawie o telepatyi. Takie pojawienie się ludzi, którzy w chwili śmierci skupiają całą swą wolę, aby dać zaraz znać pewnej osobie, mają być możliwe. Nie mamy wprawdzie pojęcia o tem, w jaki sposób siły nerwowe mogą działać z oddalenia, jak przebiegać przestrzeń i odnajdować osobę żądaną, ale w końcu cały ten proces drogą prądów nerwowych, podobnych do elektrycznych, hypotetycznie jeszcze się da pomyśleć.

Ale przygoda Joanny na tem się nie kończy. Wstrząśnięta do głębi tem widzeniem, ma cały szereg halucynacyj, wydaje jej się, iż widmo Silvia odwiedza ją nocami i że stała się materyalnie jego żoną. Halucynacye te ustały, gdy Sarconi się pojawił, pokochał i zdobył jej wzajemność. Ale następnie, gdy ochłonęła pod wpływem jego niedowierzania i sarkazmów, widmo ponownie zaczęło ją prześladować i wymagać, żeby zerwała z Sarconim, co też czyni, całkiem poddana woli tamtego. Pozostaje głuchą na prośby i błagania Alberta, pogrążając się coraz bardziej w swą manię chorobliwą. Wreszcie i on sam pod wpływem odepchniętej namiętności, rozszalały do najwyższego stopnia, ulega halucynacyi. Dla przekonania go o prawdzie swych słów, Joanna zgadza się przyjąć go u siebie wieczorem. Istotnie Albert także zarażony zostaje tą atmosferą szału, wydaje mu się, iż słyszy stuk, iż widzi przesuwający się cień, którego jednak twarzy nie odróżnia. Trzeba było dopiero przypadku, który podsunął mu do ręki fotografię Silvia, aby następnie i jego wyobraźnia stała się gotową dla tworzenia halucynacyj bardziej określonych. Umysł jego, przygotowany wszystkiemi temi przejściami, zaczął wszędzie podejrzywać i bać się tajemniczych widzeń. Nieprawdopodobieństwo rzeczy nietylko nie niszczyło jego podejrzeń, ale i owszem potwierdzało je. Wreszcie widmo zaczęło go odwiedzać codziennie w określonych godzinach.

„Nic nie pozwalało przypuszczać, iż jest to iluzya. Była to istota realna i żyjąca, która oddychała, jak ja, przechadzała się w sposób zupełnie naturalny i gestykulowała, jak osoba pogrążona w zadumie. Twarz jego była zupełnie podobna do fotografii Silvia."

Cała ta historya wydaje się mocno nieprawdopodobna na pierwszy rzut oka, a jednak autor potrafił tak świetnie zestawić wszystkie szczegóły, iż najściślejsza psychologia nie mogłaby mu nic zarzucić. Jeżeli wypadek ten nie istniał, to mógłby stanowczo istnieć. Dodajmy, iż autor umie wywoływać wrażenie strachu w sposób iście Shakespearowski. Mimowoli przypomina się nam Mackbeth, prześladowany widmem Banca. Autor także niewątpliwie studyował Poego, a głównie Dostojewskiego, który w „Braciach Karamazowych" znakomicie opracował psychologię halucynacyi. Joanna waryuje, a Albert, czując się także blizkim szału, zastrzelił się. Uratowano go jednak i wówczas rozpoczęło się jego „odrodzenie" wewnętrzne.

Rekonwalescenci mają bardzo łatwe rozczulenia. Wobec najzwyklejszych zjawisk życia Albert śmiał się i płakał z radości, kochał wszystkie stworzenia od najdrobniejszego do najwyższego.

Potrzeba dobroci przepełniała jego serce, topiąc w niem wszystkie źródła egoizmu, zaszczepiając żądzę wiary i poświęcenia. Kochał życie serdecznie, w całej jego prostocie i tajemniczości. Niema kontemplacya krajobrazu zaprowadziła go powoli do rozmyślań abstrakcyjnych o celu i przeznaczeniu życia. Już w dzieciństwie interesowały go kwestye metafizyki, ale wówczas osobowość jego zaledwie się utwierdzała: prosty, naiwny, zadziwiony, dopiero co wychodził z lat pacholęcych. Następnie nauka podcięła szybko skrzydła tym polotem. Uspokoił się wierząc, iż rozstrzygnął zadanie, gdy właściwie zmienił tylko i zcieśnił jego warunki. Obecnie kwestya stawała znowu przed nim, także nowa i groźna, jak i dawniej.

Długi okres pośredni suchości i niepokojenia zniknął jakby cudem, wszystkie jego dedukcye poprzednie utraciły dlań wagę. Wstąpił znowu w te krainy nieznane, które już niegdyś przebiegał po części.

Wszystkie zarzuty, które niegdyś wydawały mu się nieprzezwyciężonymi i które doprowadziły go do przeczenia duszy, Boga i celowości we wszechświecie, wydawały mu się teraz błahymi. „Nauczyłem się wątpić o mych zmysłach i podejrzewać, iż *coś* może działać niezależnie od nich i po za ich dziedziną." Wyznajemy, iż z powieści bynajmniej tego wywnioskować nie można; mieliśmy tam wciąż do czynienia z elementarnemi zjawiskami iluzyi i halucynacyi, które bynajmniej nie obalają zmysłowej podstawy naszego poznania, ale i owszem tylko ją potwierdzają.

„Realność zmysłowa, na której oparłem wątłą mą budowę filozoficzną, stała się dla mnie chimerycznym pozorem, iluzyą, halucynacyą, która bynajmniej nie odsłaniając prawdy wewnętrznej, tylko być może ją zasłaniała i przykrywała." Autor — jak widzimy — tylko więcej wymaga od nauki, niż ona dać może. Ona się zgadza, iż świat jest halucynacyą i chce tylko odnaleźć prawa tej halucynacyi, które są niezłomne i żelazne.

„Oprócz tego moja wiara wyjątkowa w materyę straciła swą podstawę i trwałość, materya stała się tylko wrażeniem, a raczej hypotetyczną przyczyną wrażenia i jako hypoteza wydawała mi się ona teraz mniej wygodną i pojętną, niż każda inna." Istotnie „materya" jest tylko hipotezą, bez której badanie naukowe doskonale obejść się może: może ono ograniczać się prawami następstwa i rozwoju wrażeń. Otóż wszystkie halucynacye i wrażenia autora odbywały się na zasadzie praw już po części wykrytych przez naukę. Wszystkie więc jego napaści na nią zupełnie chybiają celu.

„Odnalazłem napowrót mą prostotę, mą łagodność, zadziwienia mych młodych lat. Czułem się napowrót ujętym przez potrzebę niepowstrzymaną *przyczyn ostatecznych*, przez ten sam polot ku tajemnicy rzeczy, ku nadziejom ludzkim. Byłem więc przygotowany i silny, aby ponownie się zmierzyć z wielkiem zadaniem."

Jednem słowem, autor wstąpił na drogę wiary, tj. do dziedziny zupełnie odrębnej od wiedzy, która ma niewątpliwie swą racyę bytu, ale wiedzą nie jest. Butti niestety miesza te dwie dziedziny i wyobraża sobie, iż nowy ten stan duchowy jest rozszerzoną wiedzą, gdy on jest tylko atawistycznem uczuciem.

Ale, jak rzekliśmy, u samego Buttiego jest to, być może, raczej wybieg, niż wierzenie. Utwierdza nas w tem mniemaniu ostatnia powieść autora: „Czar" *), w której już niema ani śladu mistycyzmu. Hrabia Aurelio Imberido, ubogi pisarz, marzy o wskrzeszeniu ludzkości drogą arystokratycznego indywidualizmu. Nie chce kochać, nie chce współczuć. Głównie jednak chciałby się uwolnić od wpływu kobiety, która jest niszczycielką energij umysłowych i moralnych. Tymczasem przy pierwszem spotkaniu z młodą, ładną dziewczyną wszystkie jego teorye pierzchają, a duma i moc ducha rozpadają się w pył. Autor przedstawia sceny namiętności, która następuje, z wielkim talentem, ale poprzedzający wykład teoryi jest słaby. Butti nie jest filozofem.

*) Butti: *L'Incantesimo*. Milano, 1897.

Dr. L. Winiarski.

POEZYE

ROZCZAROWANIE

Zdarliśmy maski z siebie i odrazu
Ujrzeliśmy swych serc i dusz swych głębie...
Widziałem serce twoje — było z głazu!
A dusza, dotąd biała, jak gołębie,
Straciła swojej białości połowę
I była ciemna, jak chmura, co zionie
Deszczem — i nie szła tak, jak duchy owe,
Ku niebu w jasnej tęcz i barw koronie...
I myśl nie miała owych orlich lotów,
Które zmuszały nas marzyć o niebie,
Więc się zdziwiłem — i już byłem gotów
Zakląć, byś maskę włożyła na siebie...

Lecz się zachwiałem, boś i ty widziała,
Tak jak na dłoni, całe moje wnętrze —
I moja dusza już nie była biała,
I wszystkie czucia moje najgorętsze
Nie miały ciepła... Moje chore oczy
Już nie szły z myślą do nieba szafirów —
I byłem jak ci, których zmrok otoczy,
Których okryje ból łachmanem kirów.
Straszliwa pustka wyglądała z serca...
I czułem, że się nić żywota przerwie,
Bo ból, co wszystkie zapały uśmierca,
Strasznym protestem krzyczał w każdym nerwie...

I była we mnie grobu martwość głucha,
A w sercu twojem była obojętność,
Więc zrozumieliśmy swą nędzę ducha
I zrozumieliśmy, że nas namiętność
Złączyła sztucznie swym nietrwałym węzłem
I sprowadziła nas na wspólne drogi,
Żeś grzęzła w błocie tak, jak i ja grzęzłem,
Myśląc o sobie, żeśmy dwa półbogi...

Teraz, gdy maski zdarliśmy obłudne,
Gdyśmy ujrzeli swoich dusz szkielety,
Tak się nam dusze te wydały brudne,
Żeśmy obmierzli dla siebie, niestety!
I to nas tylko dotąd łączy z sobą,
Że ty mną gardzisz, a ja gardzę tobą...

Edward Słoński.

W DALI.

Łódź. Do *Rozwoju* łódzkiego piszą z Dąbrowy Górniczej: „Szkoła sztygarów w Dąbrowie obywa się od pewnego czasu bez nauczyciela języka polskiego. To czysto dąbrowski figiel! Jest nauczyciel, dyrektor kopalni, wykładający jednocześnie geologię, ale język polski należałoby powierzyć specyaliście. Szkoła sztygarów w Dąbrowie wydała już sporo tęgich i dzielnych kierowników, a wydałaby ich więcej, gdyby zarząd jej zmienił w szczegółach program. Chodzi o to, że na kurs pierwszy przyjmują tylko 30 słuchaczów i tylko do roku 20, gdy śmiało można by powiększyć w dwójnasób liczbę uczniów i maksymalny wiek kandydatów ustanowić na lat 25. Ponieważ zwiększenie liczby sztygarów leży zarówno w interesie całego społeczeństwa, jak szczególnie w interesie przemysłu górniczego, więc środki na to powinnyby się znaleźć."

Petersburg. Ogłoszono raport ministra skarbu o budżecie dochodów i wydatków na r. 1898. Dochody zwyczajne 1,364,458,217 rs., nadzwyczajne 3,300,000 rs., wolna gotówka skarbu państwa 106,291,706 rs., ogółem 1,474,049,923 rs. Wydatki państwa wynoszą: zwyczajne 1,350,085,213 rs., nadzwyczajne 123,964,700 rs., ogółem 1,474.049,923 rs. W ten sposób dochody zwyczajne państwa przewyższają wydatki zwyczajne o 10,373,004 rs. W porównaniu z budżetem na rok 1897 dochody zwyczajne przewidziane są w sumie o 46,091,722 rs. większej, wydatki zwyczajne w sumie o 66,226,351 rs. większej. Powiększenie dochodów w porównaniu z r. 1897 przewidziane jest: z kolei państwowych o 31,500,000 rs., z monopolu wódczanego o 22 $^1/_3$ milionów rs., chociaż dochód z monopolu w r. 1898 obliczono w sumie o 24 $^2/_5$ milionów rs. mniejszej i chociaż wpływ z opłat wykupnych przewidziano w sumie 7 $^1/_5$ miliona rs. mniejszej. Rada państwa zgodziła się także na niższe obliczenie niektórych dochodów, ze względu na stwierdzony niezadawalający rezultat zbiorów w r. z., które w 50 guberniach Rosyi europejskiej, po potrąceniu ziarna na zasiew, dały zboża ozimego 731 milionów pudów, jarego (oprócz owsa) 665 milionów, owsa 335 milionów, kartofli 771 milionów. Zbiory te można uważać za wystarczające dla wyżywienia ludności, ale nie ma zwykłej przewyżki na wywóz, skutkiem czego uważać je trzeba za niezadawalające. Z drugiej znów strony w ciągu lat ostatnich zapasy zboża w składach wiejskich w wielu miejscowościach powiększyły się znacznie, w porównaniu z ostatnimi czasami, nadto wielu właścicieli majątków i zamożniejsi włościanie, z powodu nizkich cen w czasie dobrych urodzajów, zatrzymali znaczne zapasy zboża dawnego. Niektóre dane wskazują, że ogólna ilość zapasów zboża z lat poprzednich w czasie żniw w r. 1897 wynosiła przeszło 600 milionów pudów, co dowodzi, że wywóz może być utrzymany w normalnym rozmiarze, bez obawy o brak zboża przed przyszłymi zbiorami. Ostatnio poprawiły się nadto widoki zbiorów ozimin. Na wydatki nadzwyczajne przeznaczono rs. 123,964,710, a w tej liczbie na budowę kolei Syberyjskiej 37,447,020 rs., na przedsiębiorstwa pomocnicze, związane z budową tej drogi, 3,718,363 rs., na budowę innych kolei żelaznych 23,565,182 rs., na zakup taboru 49,234,145 rs., na wynagrodzenie osób prywatnych i instytucyj za pozbawienie prawa propinacyi 10 milionów rs. Na pokrycie wydatków nadzwyczajnych postanowiono użyć dochody nadzwyczajne w sumie 3,300,000 rs. i nadwyżkę dochodów zwyczajnych nad wydatkami w sumie 14,373,004 rs. Reszta 106,291,706 rs. pokryta będzie wolną gotowizną skarbu państwa, która w dniu 13 stycznia 1897 roku wynosiła 246,501,327 rs. Chociaż skutkiem wydatków w r. 1897 cyfra gotówki wolnej w dniu 13 stycznia 1898 r. zmniejszyła się, to w każdym razie aż nadto wystarczy na pokrycie wydatków nadzwyczajnych.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Birż. Wied.* donoszą, iż wkrótce ogłoszona będzie ustawa normalna towarzystw opieki nad oświatą ludową. Przepisy opracowała komisya specyalna, złożona z delegatów ministeryum oświaty i św. Synodu. Towarzystwa będą podlegały ministeryum oświaty.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa rolniczych kolonij poprawczych i przytułków rzemieślniczych w Wilnie.

— W r. b. uchylone będzie rozporządzenie tymczasowe, zabraniające Żydom korzystania z wód mineralnych i wogóle z pobytu w miejscowościach leczniczych na Kaukazie i po za „linią osiedlenia" (*Świat*).

Szkoły. Ministeryum skarbu urządza w Odesie r. b. pierwszą na południu szkołę młynarską na 70 uczniów. Koszty budowy gmachu szkolnego wyniosły 50,000 rs.

— Ministeryum oświaty wkrótce rozstrzygnie kwestyę, czy wychowańcom szkół realnych można przyznać prawo wstępu do uniwersytetów po złożeniu egzaminu dodatkowego z języków starożytnych.

— Dzienniki moskiewskie donoszą o utworzeniu się Towarzystwa, celem urządzenia instytutu lekarskiego dla kobiet w Moskwie. Urzeczywistni ono swój zamiar z chwilą zebrania miliona rubli.

— Prezydent m. Kielc dowodzi w *Now. Wr.* konieczności założenia w Kielcach wyższej szkoły górniczo-technicznej.

— Ministeryum spraw wewnętrznych rozpatruje kwestyę przyznania kobietom prawa uczęszczania na wykłady w uniwersytetach, celem otrzymania stopnia prowizora farmacyi.

— *Msr. Otg.* donoszą, iż ziemstwa gub. Charkowskiej czynią skuteczne zabiegi około rozpowszechnienia szkół ludowych. W tym celu wyznaczyły rocznie po 200,000 rs. dodatkowo po nad etat dotychczasowy. Ma powstać 800 nowych zakładów.

— Ziemstwo gub. Woroneskiej wyznaczyło 100 tysięcy rs. na utworzenie w Woroneżu wyższego instytutu agronomicznego.

Zdrowie publiczne. Latem otwarty będzie pierwszy szpital kolejowy w Brześciu litewskim dla czterech schodzących się tam kolei.

Prasa. P. Adam Grabowski otrzymał koncesyę na wydawanie pisma p. t. *Echo Płocko Łomżyńskie* w Płocku. Nowy organ prowincyonalny zacznie wychodzić od 1 kwietnia.

— P. minister spraw wewnętrznych postanowił zawiesić wydawnictwo gazety *Kazbek* na osiem miesięcy.

Teatr. P. Michał Wołowski przyjedzie do Petersburga ze swojem towarzystwem aktorskiem i da 12 przedstawień na rzecz katolickiego Towarzystwa dobroczynności. Grywane będą wyłącznie sztuki oryginalne polskie.

Koleje i komunikacye. Opróżnione po zgonie r. t. Michniewicza miejsce członka rady kolejowej w ministeryum komunikacyj zajął wice-dyrektor departamentu kolejowego, p. S. Jastrzębski.

— Kolej środkowo - syberyjska będzie doprowadzona w r. b. do Irkucka.

— Na wiosnę rozpoczną się stydya przygotowawcze do budowy nowych kolei: od Rygi przez Poniewież do Kowna, od Poniewieża przez Wiłkomirz do Kowna i od Poniewieża do Wilna.

— Minister Hanotaux przyrzekł inżenierowi Berlierowi poprzeć w Madrycie i Marokku projekt tunelu pomiędzy Gibraltarem a Afryką.

Wystawy i zjazdy. Na tegoroczną wystawę wynalazków w Petersburgu przyjmowane będą tylko wynalazki, dokonane przez poddanych rosyjskich w okresie 1893—1897 oraz tegoroczne, ogłoszone przed otwarciem wystawy.

— Wielka wystawa sztuki w Berlinie trwać będzie od 29 kwietnia do 16 października. Okazy powinny być nadsyłane najpóźniej do 23 marca.

Przemysł i handel. D. 14 b. m. w Zgierzu rozpoczęła działalność nowa instytucya, Towarzystwo wzajemnego kredytu.

Katastrofy. W kopalni „Królowa Ludwika" na Górnym Szląsku zdarzyła się katastrofa. W niedzielę wieczorem spuściło się w podziemia 50 górników. Wkrótce potem wybuchnął tam groźny pożar. Wydobyto 20 zwęglonych trupów i dziesięciu żywych, lecz mocno poparzonych. Co się stało z resztą górników, dotychczas jeszcze nie wiadomo.

— W okręgu taganroskim, w kopalni Towarzystwa rosyjsko donieckiego skutkiem wybuchu gazów piorunujących straciło życie 40 robotników.

— D. 18 b. m. w południe w nowym domu nr. 24 przy ul. Wołyńskiej zawaliło się sklepienie w chwili gdy robotnicy poszli na wypoczynek. Pozostał w piwnicy tylko jeden, którego wydobyto śmiertelnie pogniecionego.

Zmarli. Lucyan Malinowski, w Krakowie. Znawca i badacz języka polskiego.

— Hr. Delianow, minister oświaty, w Petersburgu.

— Leon Dmochowski, radca komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

— Zofia z Porębskich Wolska (pseud. Liliana), literatka, w Białogonie.

Odpowiedzi Redakcyi

Panu Ni. w Łodzi. Dla *Prawdy* takie kuryerowe doniesienia nie mają wartości.

Panu Z. Drzew. W przedmiocie nadesłanych wierszy prosimy o porozumienie się osobiste lub nadesłanie adresu.

Panu P. Las. W wierszu Pańskim jest tylko czułość, ale niema poezyi.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 9 Января 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.